Nr. 1092—1093.

10298

BIBLIOTEKA POWSZECHNA

IWAN FRANKO

NA DNIE

STUDJUM PSYCHOLOGICZNO-SPOŁECZNE

Z ukraińskiego przełożył
Sidir Twerdochlib

Każdy tomik można osobno nabyć.
Nakładem i drukiem księgarni
WILHELMA ZUKERKANDLA
W ZŁOCZOWIE.
NA SKŁADZIE
W KAŻDEJ KSIĘGARNI

IWAN FRANKO

NA DNIE

STUDYUM PSYCHOLOGICZNO-SPOŁECZNE

Z UKRAIŃSKIEGO PRZEŁOŻYŁ

SYDIR TWERDOCHLIB

LWÓW — ZŁOCZÓW
NAKŁADEM I DRUKIEM KSIĘGARNI WILHELMA ZUKERKANDLA.

BIBLIOTEKA NARODOWA

I. 540.749/1092-1093.

I.

Po południu pewnej niedzieli wiosennej zdziwili się niepomiernie dwaj policyanci, czuwający w strażnicy gminy drohobyckiej. Do strażnicy bowiem wprowadzono młodego panicza, średniego wzrostu, w ubraniu zakurzonem, ale dość porządnem.

— A ten skąd? — zapytał kapral i zmierzył młodego człowieka od stóp do głów osowiałemi od wypitki oczyma.

— Starostwo go przysłało, ma pójść *ciupasem,* odrzekł policyant eskortujący panicza.

— Hm, hm, mruknął kapral i opuścił wzrok w stojący przed nim talerz z niedojadkami mięsa i sałaty, poczem spojrzał z lubością na szklanicę piwa, do której właśnie miał się zabrać.

Policyant tymczasem wydobył z zanadrza papiery i podał je kapralowi. Był to wyrok starostwa. Kapral odebrał papier, rozwinął

i zaczął go obracać w ręku, usiłując przesylabizować nazwisko „ciupasnika“. Nie mogąc jednak dać sobie z tem rady, zapytał go wprost:

— Jak się pan nazywa?

— Andrzej Temera.

— A skąd?

— Z Tarnopola.

— Z Tarnopola? Hm! A dlaczegoż to pana z Tarnopola aż tu przysłali? Ha?

Temera, jakby nie słyszał nawet pytania, stał i rozglądał się po strażnicy. Kapelusz swój i palto odłożył był na krzesło.

— Pocoś pan tu przyjechał? — zapytał ponownie kapral już ze złością.

Na to Temera odrzekł spokojnie, jakby zamykając dyskusyę:

— Mniejsza o to.

Kapral wytrzeszczył na niego oczy, lecz wnet się pomiarkował.

— Wcale nie mniejsza, proszę odpowiedzieć na moje pytanie!

— Nie do was należy pytać mię o to.

Kapral poczerwieniał ze złości i ścisnął zęby.

— O taki to pan mądry? a czem to się panicz trudni?

— To moja rzecz, — odparł Temera i jął chodzić po izbie, spoglądając na przyległy

ogród gimnazyalny zalany ciemną zielenią drzew, wśród których przechadzali się ludzie rozmaitych stanów w odświętnych strojach, weseli i wolni; dolatywał stamtąd wesoły śmiech bawiących się dzieci, dźwięczne głosy kobiet i luby szmer bujnej, żywej roślinności. Chmurka żalu i tęsknoty przesunęła się po pięknej, młodej twarzy Andrzeja; jakaś trwoga ściskała mu serce, usta drgały kurczowo, a oczy jego wciąż były utkwione w to morze zieleni, rozkosznie świecące w słonecznym blasku.

— Ej, paniczu, bardzoś mi, widzę, mądry, choć takiś jeszcze młody, mruczał kapral, tłumiąc w sobie złość i wychylając pół szklanicy piwa. — To nie dobrze, gdy kto tak prędko zmądrzeje: nie wychowa się na świecie! No, ale teraz może pan będzie łaskaw zagościć do naszej „sali“. My tu dla takich mądrych panów mamy osobny salon, ładny salon! cha, cha, cha!

Temera odwrócił się szybko. Na twarzy jego znać było zaniepokojenie.

— Pan inspektor rychło przyjdzie? — zapytał.

— O rychło — odparł ironicznie kapral.

— To możebym mógł tymczasem zaczekać tutaj? rzekł Temera, który nie zauważył był tonu, jakim kapral wymówił swe „rychło“.

— E, to wszystko jedno, czy tu, czy tam — prawił kapral — tyle tylko, że tam bezpieczniej, a zresztą paniczu, tam właściwe dla was miejsce. No, chciejże się pan pofatygować za mną.

— Ale ja proszę zostawić mię tu, jeśli można, — błagał Temera.

— Nie można, panie, nie można — mówił słodziutko kapral, szczęśliwy, że może odpłacić pięknem za nadobne.

— Panie kapralu — wtrącił policyant, który dotąd stał milcząco przy stole — toż tam ciasno, ośm dusz, możeby tego pana tu zostawić, aż pan wachmistrz nadejdzie.

— Ha, co? — wrzasnął kapral — ośm dusz? A mnie co do tego! Gdzie jest ośmiu, tam się i dziewiąty zmieści. A zresztą, jeśli chcesz, to niechaj i tutaj zostanie, ale na twoją odpowiedzialność!

— Jakże ja mogę brać aresztanta na moją odpowiedzialność?

— No, to nie pchaj swego nosa do cudzego trzosa, *kapujesz?* — wrzasnął kapral i wziąwszy klucz z kołka, poszedł naprzód. Temera wziął kapelusz i palto i stąpał za nim.

Sień była obszerna i prowadziła z jednej strony na długi ganek, wyłożony płytami, z drugiej — na kurytarz. Z góry wpadało jasne światło słoneczne aż pod próg pustego

kurytarza. Ściany czyste, malowane, podłoga kamienna, pułap lekki i czysto wybielony, wszystko to razem nadawało temu jasnemu kurytarzowi jasny wygląd. Idąc wzdłuż tych ścian pomalowanych w zielony esy i floresy, nikomu pewnie i przez myśl nie przeszło, żeby za niemi mogło się kryć coś brzydkiego i niechlujnego. To też Temera spokojnie postępował za kapralem, choć trochę zadumany, nie o swojej obecnej doli, lecz o dalekich, dawno minionych, a szczęśliwych chwilach.

Przed samym progiem zatrzymał się kapral i zastukał niewielką żelazną kłódką, która wisiała u małych drzwi bukowych, czysto umytych i wcale prawie nieokutych. Długo podrzucał kłódką, aż udało mu się wreszcie wetknąć klucz do dziurki. Klucz zazgrzytał przy obrocie, kłódka się rozwarła, drzwi odskoczyły, kapral się cofnął i wziąwszy Temerę za barki popchnął go naprzód i zawołał z pijanym śmiechem:

— No, proszę!

II.

Temera stanął odrazu we drzwiach jak wryty. Ciemność wewnątrz tak oślepiła go nagle, że przez chwilę nie mógł nic dojrzeć. Zdawało mu się, że wszedł do jednego z tych tajemniczych lochów podziemnych, o których

czytał w dawnych powieściach. W pierwszej chwili doznał w tej ciemnicy takiego wrażenia, jakby niewidzialna jakaś ręka przykuła go do miejsca. Tymczasem widoma ręka kaprala była snać silniejsza od tamtej i pchnęła go do środka, poczem zatrzasnęły się za nim drzwi tej ciemnej nory.

Temera stał ciągle przy drzwiach i rozglądał się dokoła, nadsłuchując, czy też nie usłyszy jakiego głosu. Po długiej dopiero chwili oczy jego o tyle oswoiły się z mrokiem, że mógł obejrzeć nowe swoje mieszkanie.

Była to ciupka, mająca sześć kroków wzdłuż, a cztery wszerz, z jednem małem, zakratowanem okienkiem. Okienko to wybite było wysoko, prawie pod samym pułapem tak, iż przez nie widziałeś tylko zczerniałe od starości, gonty ganku i łaty daszka, którym ten ganek był kryty. Słońce nigdy tam nie zaglądało. Po ścianach kaźni brudnej i niechlujnej sączyła wilgoć. Asfaltowana podłoga, mokra od porozlewanej wody, pokryta była błotem, nie wiedzieć kiedy jeszcze naniesionem. Nawet drzwi od wewnątrz nie wyglądały tak niewinnie, jak po tamtej stronie od kurytarza; przeciwnie, czarne były od wilgoci i okute na krzyż dwiema grubemi żelaznemi sztabami, a nawet mały, czworo-

boczny otwór wycięty snać dla wentylacyi, zatkany był deską i skoblem zabity. Pośrodku kaźni stało wąskie, żelazne łóżko z wilgotnym i brudnym, jak całe otoczenie, siennikiem, wypchanym dawno niezmienianą, przegniłą słomą, w kącie, pod ścianą stało drugie takie same łóżko; nie było na nich ani prześcieradła, ani nawet zwykłej aresztanckiej poduszki ze słomy. Powietrze było gęste i zgniłe, bo ani okienko, ani zbyt małe drzwi, nigdy nie otwierane nie wpuszczały świeżego powietrza. W kącie zaś pod drzwiami stał aż nadto znany wszystkim aresztantom „*chichlacz*“, przykryty od biedy szczerbatą, nieprzystającą pokrywą, a wydobywające się z niego zabójcze wyziewy zapełniały całą celę więzienną i otaczały wszystko cuchnącą atmosferą ohydy i niechlujstwa. Tuż obok tego okropnego sprzętu stał wysoki, niczem nie przykryty szaflik z wodą — do picia!

Długo rozglądał się Temera, natężając nieprzywykłe do ciemności oczy, zanim ujrzał wszystkie te sprzęty. Serce jego ściskało się jakby ujęte zimnemi kleszczami; nieznośne, cuchnące powietrze dławiło go; zakrztusił się, aż łzy mu w oczach stanęły. W kaźni nikt się jeszcze nie odzywał, chociaż słychać było wyraźnie ciężki oddech kilku, jakby ciężarem przytłoczonych piersi.

Temera zaczął się przypatrywać swoim towarzyszom niedoli.

Na sienniku pod ścianą leżał rozciągnięty dziad, ze szczudłem u prawej nogi, pykając czerepianą lulkę. Był to człowiek barczysty i krzepki około lat pięćdziesięciu, z czarną okrągło przystrzyżoną brodą, okalającą twarz pełną, obrzękłą. Podarta, brudna koszula na nim widocznie od kilku miesięcy nieprana. Leżał wsparty na łokciach, nogi przykrył brudnym kaftanem. Niewielkie siwe jego oczy, spokojnie, a nawet nieco ironicznie patrzyły na nowego przybysza, aresztantapanicza.

U nóg dziada, skulony jak pies, leżał mały chłopak czarnowłosy, w czarnych miejskich spodeńkach, w brudnej podziurawionej koszuli z cienkiego płótna, z pod której wyglądało szarobronzowe ciało. Twarzy jego nie mógł Andrzej dojrzeć, bo spał tak twardo, że go nie obudziło nawet silne trzaśnięcie drzwiami.

Na drugim łóżku leżał człowiek średniego wieku, silny i krępy, z ogoloną brodą i podstrzyżonym wąsem. Bielizna na nim cała i niezbyt jeszcze brudna, świadczyła, że niedawno się tu dostał. Tylko twarz jego była ponura, zapadła i poczerniała jak ziemia, oczy wklęsłe głęboko, a obrośnięte, żylaste

ręce od czasu do czasu ściskały bezwiednie żelazne poręcze łóżka; brakło im snać zwyczajnej, codziennej pracy. Leżał na wznak, wlepiwszy oczy w powałę z wyrazem gniewnym a zarazem obojętnym i ani razu nie spojrzał na nowego przybysza, dopóki ten sam do niego nie przemówił.

Obok, a raczej u nóg jego leżał na grubym kocu młody parobek wiejski. Urodziwa, smagła twarz jego jaśniała zdrowiem. Długie miękkie włosy, krótko przystrzyżone nad czołem, spadały mu na ramiona bujnymi kędziorami. Duże błyszczące, czarne oczy, wyrażały dziecięcą łagodność i ciekawość, gdy się przypatrywały nowemu przybyszowi. Ręce tylko i nogi żylaste, szorstkie, dobrze rozwinięte, świadczyły, że ten młody chłopiec nie opływał w dostatki, lecz żył z twardej pracy i walczył długo i ciężko o byt. Andrzej, wrażliwy na wszelakie piękno, długo nie mógł oderwać oczu od tej pięknej twarzy, w której malował się nadto naturalny spryt, ciekawość i niezepsute jeszcze, szczere uczucie.

Reszta mieszkańców sali musiała się mieścić na podłodze. Oczy Andrzeja obiegły szybko po kolei tych nieszczęśliwców, leżących pokotem na mokrej i ślizkiej, asfaltowanej podłodze.

Pod ścianą, koło samych drzwi leżał stary żyd, z twarzą niesłychanie chudą i zbiedzoną,

ze suchemi jak grabie rękami i strzępiastą, siwą brodą. Głowa jego krótko ostrzyżona, leżała na płycie, a na długiej, cienkiej szyi, widać było żyły nabrzmiałe jak postronki. Spał twardo, z otwartą, bezzębną gębą, chrapał i sapał jakby poderznięty.

Przy nim siedział pijany jakiś obdarty chłop, w guni bez poły, w butach powiązanych sznurkami, w czapce barankowej mocno wytartej i w szarawarach płóciennych bez jednej nogawicy; zamiast rzemienia, opasany był łykiem. Siedząc na podłodze szlochał z cicha, jak gdyby dopiero co przestał płakać.

Z drugiej strony łóżka, pod ścianą, naprzeciw drzwi, leżał młody jeszcze człowiek, lat około trzydziestu, z białą cerą, z jasnym zarostem na twarzy, ze siwemi oczami i krótkimi rudymi włosami na głowie. Broda jego snać dawno nie czuła na sobie grzebienia ani nożyc, a swojemi kudłami przypominała rozrzucone gniazdo ptasie. Na człowieku tym tyle było nawieszanych szmat brudnych, że leżąc tak na podłodze, wyglądał jak kupa ścierek, wznosząca się to opadająca w tej dusznej przeludnionej ciupce.

Andrzej Temera z bolem w sercu, wodził zatroskanym wzrokiem po tych ciałach i twarzach ludzkich i sam nie wiedział, co mówić, co myśleć. Ileż to mąk piekących, niespo-

dzianych i utajonych przedtem, przedstawiło mu się naraz w tej ciemnej wstrętnej klatce!... Wszak wszyscy ci oto ludzie, to jego bracia... A ci, co ich tu zamknęli i trzymają w tej przebrzydłej norze — toż i to są ludzie, ojcowie dzieci, pracujący na chleb... Jakże to się stało, że tu naraz rozwarła się taka straszna przepaść między ludźmi?

— Co to jest? — szepnął.

Andrzej, jak od potężnego ciosu, schylił głowę i opuścił ręce. Na sercu uczuł w tej chwili takie brzemię i chłód, jak gdyby z jasności dziennej i swobody wrzucony do głębokiej studni, upadł na dno rozbity, oszołomiony.

— Jam na dnie — myślał — na dnie społeczeństwa — dno mnie otacza, wyklęte parjasy, ze strasznem hańbiącem piętnem — nędzy!...

III.

— A skąd wy, panie? — pierwszy zagadnął Andrzeja dziad.

— Z Tarnopola.

— Cóż to się z wami stało panie, że zagnali was aż tutaj?

— Co się stało!... we Lwowie skończyłem szkoły, i wybrałem się właśnie na wieś tutaj, do domu jednego z kolegów — na lekcyę.

BIBLIOTEKA NARODOWA

Lecz, gdy się człek winnym nie czuje, to i napaści się nie spodziewa—tak i ja też—nie zabierałem ze sobą żadnych papierów, nic zgoła. Aż tu spotykam w drodze żandarmów, którzy zaczęli mnie pytać skąd ja i kto taki, a przekonawszy się, że nie mam przy sobie papierów, poprowadzili mnie do starostwa. Starostwo kazało mię tu odesłać, powiadają, że mają mnie „ciupasem“ odstawić tam „gdziem przynależny“. Oto wszystko.

— No, no, także też! — odrzekł dziad.— Zważcie, paniczu, że i ze mną stało się także coś takiego. Ja z Wołoszczy — niedaleko ztąd. Służyłem przedtem we wojsku... przestrzelili mi nogę w Netalii... stałem się do wojska niezdatnym, to i puścili mię. Powlokłem się o szczudle do domu, a tam pustka—chcesz, to umrzyj z głodu, a nie to idź żebrać. A tu, panie, człowiek jeszcze siłę czuje w sobie, wstyd żebrać —lecz jakaż to praca bez nogi na roli? Więc *hajda* do Borysławia. Tam robota inna, tam trzeba było stać i korbą kręcić. Robiłem dziesięć lat i zarabiałem coś niecoś. Ale, po prawdzie, tom często nie dojadł — a odkładałem po trochę na czarną godzinę... Grosz do grosza uciułało się trochę pieniędzy — a i przyodziewku też był zapasik; aż tu naraz Bóg zesłał chorobę. Jakby mnie kosą kto podciął! Przeleżałem sześć

miesięcy u żyda w komórce... szczęście, że to nie było zimą. Wychodzę, właśnie śnieg upadł — cóż tu począć? Pieniędzy już nic a nic, przyodziewek trzeba było zastawić — człowiek poleżałby jeszcze po chorobie, a tu żyd wygania, bo czemże mu płacić? Iść na robotę sił niema — dołoż ty moja nieszczęśliwa! — gdzie ja się podzieję? widzę, że jakbym i nie przemyśliwał, nie poradzę, poszyłem torby i poszedłem na żebry. Dzięki Bogu, przezimowało się jako tako. Myślałem z wiosną stanąć do roboty — aż tu za majdanem zdybali mnie *koguty*. A skądeś ty, dziadu? — A z Wołoszczy, rzekę. — A to ty nie wiesz, że teraz nie wolno obcym dziadom włóczyć się po wsiach? Każda wieś musi utrzymywać swego dziada a po świecie włóczyć się nie wolno. — Ale ja — powiadam — nie dziad; prosiłem dobrych ludzi o chleb boży, bom słaby, nie mogłem nijak zarobić... Ale gdzie tam! ani słuchać nie chcieli, a jeden to tak mnie kopnął, że mi się prababka przypomniała — no i powlekli mnie do starostwa. A tu pan zastępca starosty, (samego starosty nie było, umarł) ani się o co spytał i zaraz oddał do małego sądu niby za szpiegostwo. Zasądzono mnie na dwa tygodnie haresztu i odciupasowanie do miejsca urodzenia. Odsiedziałem te dwa tygodnie,

wtedy, na ten przykład, przyprowadzono mnie tutaj, gdzie kisnę, chwała Bogu w piątek będzie już półtora miesiąca. Nie bardzo się kwapią, powiadają, że nie pozbierali jeszcze wiadomości.

— No, a przejść się puszczają? — zapytał Andrzej.

— Ech — odrzekł dziad z uśmiechem — puszczają co dnia rano na rynek, zamiatać.

— Wszystkich?

— Nie, ot mnie — tego małego Mytra i Stebelskiego, tego w szmatach, więcej nikogo.

— A inni nie wychodzą wcale na powietrze?

— A nie, chyba czasem jeszcze ten gazda pójdzie po chleb i ser. A tego starego żyda i tę *magdalenę* zapłakaną w półtorej nogawicy i w półgunce, to dopiero przyprowadzili i nie wiem jeszcze jak tam z nimi będzie. Ten żyd, to nim go tu przywiedli ciupasem, coś ze dwa miesiące siedział w Borysławiu, teraz powiada, że przyszły jego papiery i że pójdzie sobie jutro, pojutrze. Znamy się z nim dobrze, kręcił nieborak razem ze mną korbę w Borysławiu przez długie lata! Teraz wszystkich pędzą z Borysławia, kto niema książeczki, to i jego wyrzucili.

Andrzej spojrzał na wynędzniałą twarz żyda, wyschłą, jakby zrobiona była z paty-

czków i obleczona szarym, pofałdowanym safianem. Ciężkie rzężenie w piersi zwiastowało, że temu człowiekowi już nie długo żyć na świecie, a cała jego postać aż nadto głośno mówiła, że i minione jego życie nie było życiem, lecz wiecznem, nędznem zaumieraniem.

— Szczera to dusza — ciągnął dalej dziad — złote serce. Choć sam w największej biedzie, nigdy przed nikim nie roztacza swoich żalów, a nad drugim zlituje się i co w mocy wspomoże, jak rodzony brat. Takich żydów nie wielu znajdziecie, dalibóg, nie wielu. Ot, zwyczajnie, zrósł wsród naszych ludzi, biedował, pracował od dzieciństwa jak i my, to też teraz, gdyby nie broda, pejsy i chałat, po jego naturze niktby nie powiedział, że to żyd!

— No, a jakżeż wy żyjecie? — pytał Andrzej, rozglądając się po kaźni, do której jego oczy poczęły się zwolna przyzwyczajać. Ujrzał żelazny piec, wmurowany do połowy w ścianę u wezgłowia łóżka, na którem leżał dziad, a na piecu zobaczył wielki żytny chleb, jaki codzień przedmieszczanki sprzedają na drohobyckim rynku.

— A jakżeż żyjemy? odpowiedział dziad,— chlebem żyjemy i na tem koniec.

— Wyłącznie chlebem?

— Tylko chlebem.

— A ciepłego nic?

— E, panie drogi, już, dzięki Bogu, półtory miesiąca, jak w ustach nie miałem nic ciepłego! I skąd tu wziąć? Człowiek dostanie na dzień tych 14 centów, więc cóż za nie kupić? Za 10 centów chleba na dzień mało, a tu jeszcze by soli kupić, niekiedy cebuli, — i już po pieniądziach. O, patrz pan, kupuję co drugi dzień taki chleb, — kosztuje 20 centów — czasem zostanie mi zeń kęs na trzeci dzień, to wtedy już kupię sera i cebuli. Jakby były pieniądze, możnaby w mieście kupić ciepłe flaki, tak cóż, talerzyk taki jak dłoń, — i 5 centów, czem że tu najeść się? — wolę już kupić cebuli, dostanę tego sporo, mam do chleba na cały dzień. A ot inni, pożal się Boże, i tego nie mają; weźmie jeden z drugim taki chleb za 10 centów przed siebie, to nie zostawi ni odrobiny, zje wszystko, a potem czeka do następnego ranka. Ten tylko bojczuk robi tak jak ja, bierze chleb na dwa dni i jeszcze jakoś wytrzymuje. Ale on mógłby jeszcze lepiej stać, bo nie może jeść suchego chleba; tylko ci — dziad wskazał nogą na śpiącego, skulonego chłopca — ci zabierają mu. Swój zjedzą rano, a po południu idą do niego, jak do swojej komory: — Mytro, dawaj chleba! — A on głupiec, daje.

— A jakżeż mnie chować chleb, kiedy oni głodni — odezwał się Mytro dźwięcznym głosem i cudny, łagodny uśmiech rozpłynął się po jego pięknej twarzy, zaiskrzył się w jego dużych oczach, dodając im jeszcze krasy i powabu.

— No, no, ty głuptasku, zobaczyłbyś coby ci oni powiedzieli, jakby oni mieli, a ty nie miał i był głodny. Uprosiłbyś u nich, ale chyba kamień, aby rozbić głowę!

— Et, co, – rzekł Mytro naiwnie – jabym ich nawet nie prosił.

— A ty tu za co? — spytał Andrzej Mytra, zwracając się do niego. — Za co ciebie tu wzięli? Komu rozbiłeś głowę?

Mytro zaśmiał się.

— Ta nikomu — odrzekl bojkowskiem narzeczem, przedłużając *a*. Mnie zabrali z Borysławia za to, że nie mam książki.

— A ty skąd?

— Z Dzwiniadza. Mama zmarła jeszcze na cholerę, a wtedy tato zaczął się zapijać, sprzedał pole, potem chatę obdłużył, a zeszłej jesieni umarł. I cóż miałem robić? Szli nasi chłopcy do Borysławia i ja poszedłem z nimi. No, i cóż zarobię? Ani ugodzić się nie umiem, i pociągnąć nie mam siły, ot chyba do młynka i z kibla wybierać — płacili za to po cztery, a najwięcej pięć szóstek.

— Przezimowałem tam, a na wiosnę chciałem gdzie wstąpić na służbę, tymczasem mnie zabrali.

— I długo siedzisz?

— A no już miesiąc — rzekł Mytro spokojnie swoim równym, dźwięcznym, niemal dziecięcym głosem.

— My tu wszyscy z Borysławia — ciągnął dalej Mytro — tylko Stebelski nie.

— No, ten, prawdę mówiąc, sam sobie biedy napytał — rzekł dziad, uśmiechając się smutno. — Uczony człowiek, „giminazjon“ skończył, wszystkie klasy, tylko uważa pan, tu (dziad pokręcił dłonią koło czoła) czegoś mu nie dostaje. Pisał w Samborze w starostwie, potem mówił, że u jakiegoś adwokata, a potem całkiem się opuścił.

— Dziadku, dziadku, — przerwał uwiędły jakby półsenny głos Stebelskiego — tylko prawdę mówcie! Cóż to znaczy „całkiem opuścił się“? Jak to ja tak całkiem opuściłem się?

Dziad uśmiechnął się.

— Uważa pan — rzekł do Andrzeja — zaczęło go coś gryźć i toczyć we wnętrzu. „Cóż to, powiada, ja robię? Piszę i do czegoż przydatne to pisanie? Tylko płaczą ludziska i przeklinają. A ja za to jeszcze biorę od nich pieniądze!“ Ano i tak mu

ludzkie łzy zbrzydziły pisanie, że zaniechał wszystkiego. Swoje pańskie ubranie sprzedał i sam sobie począł wszystko sporządzać. Niech pan tylko spojrzy na jego mundur! Sam go sobie wykrawcował!

— Człowiek, który we wszystkiem nie może sobie sam wystarczyć — przemówił znów Stebelski, utkwiwszy błędnym wzrokiem w ciemnym kącie celi, — musi zaciągać dług u drugich! A kto zaciągnął dług, stał się dłużnikiem, musi zwrócić. A jak nie ma co oddać i nie wie jak oddać? A tu wierzyciele — chłopi, baby... płaczą i klną!

Spać po nocy nie można... strasznie... ciągle słyszysz płacz i przekleństwa! A najgorsze dzieci takie wynędzniałe, gołe, opuchnięte... nawet nie klną, tylko płaczą i umierają. Jak muchy giną... Dwa lata na włos nie mogłem usnąć, zawsze po nocy słyszałem ten płacz. I musiałem wszystko porzucić.

A kiedy zacząłem wystarczać sobie sam we wszystkiem, uczułem ulgę.

— Jakżeż pan sam sobie wystarczał? zapytał go Temera.

Jak? — i Stebelski zwrócił swoje mdłe oczy na niego. — Po prostu. Robię tylko to, co przynosi pożytek: kopię, noszę wodę, pasę bydło. Jem tylko to, co zarobię. Odziewam

się tylko w to, co sam sobie sporządzę. Spię na ziemi. A pierwszy warunek — nie jeść mięsa i pióra nie brać do rąk. Bo mięso doprowadza człowieka do dzikości, a pióro w ręku człowieka staje się straszniejsze jak lwie pazury, jak zęby tygrysa i jad żmiji.

— No, widzi pan — rzekł dziad, kiedy Stebelski skończył — wciąż mu takie rzeczy kotłują w głowie. A pozatem zdrów chłop. I pracowity, trudno zaprzeczyć, a jaki szczery! Kiedy weźmie się do roboty, to wkłada w nią wszystkie siły, całą swoją duszę. Otóż powiadam panu, wyrzekł się swego pańskiego pochodzienia i poszedł za najmitę do jakiegoś gospodarza. Ale cóż i tam nie mógł długo wytrzymać.

— Trudno, jak tu wytrzymać — rzekł obojętnie Stebelski — skoro gospodarz bogacz, wiele sług trzyma, sam nic nie robi, a sługę za lada drobnostkę bije po twarzy!

— O tak wszędzie było! śmiejąc się, rzekł dziad. — Całkiem tak, jak mówi przysłowie, że durnia biją nawet w kościele. A szkoda go! Uczony człowiek, z księżej rodziny. Ma jeszcze swoje książki, nie zarzekł się czytania. Nawet tu przywiózł je ze sobą, ale policjanci odebrali.

— A skądżeż on tu przyjechał?

— Słyszał-żeż pan, ze Sambora. Tam w Samborze przebywał długie lata, nikt mu nic nie mówił, aż nagle tej wiosny dowiedział się o powołaniu rezerwistów na ćwiczenia. A on, uważa pan, urodził się w tym cyrkule, i przyjechał niby do wojska stawać... A on już zwolniony od czasu, kiedy palce odmroził.

— A jakżeż on palce odmroził?

— Powiadam panu, że on ma w głowie... no...

Otóż opowiadał mi — idę raz w zimie, a mróz był trzeszczący; idę do Sambora z jakiejś wioski, a na drodze leży jakieś żelazo, kawał sztaby. E, powiada, myślę sobie, czyjaś zguba, trzeba oddać do policji, niechaj ogłoszą. I wziął dureń żelazo w gołą rękę i niósł więcej jak milę.

— Półtorej mili — poprawił obojętnie sam Stebelski, który leżąc na ziemi przysłuchiwał się rozmowie. Andrzej spojrzał na niego, a dziad ciągnął dalej zupełnie nie zwracając uwagi, że Stebelski słucha. — Przynosi do policji, a tam wszyscy w śmiech. Ano potem chcą wziąć od niego to żelazo, a tu stój, żelazo przyrosło do ręki. Posłali go zaraz do szpitala, ale cóż nie było rady, musiał lekarz poodcinać palce.

Stebelski jakby na potwierdzenie tych słów, podniósł do góry prawą rękę, na której kończyny wszystkich palców były poucinane.

— A szkoda go, uczony człowiek, i nikomu nic złego nie uczyni, spokojny. I jego mają odstawić do miejsca urodzenia, już miesiąc siedzi. I to jeszcze trzymają go tu w takiej męczarni i nie dość na tem, co dnia dają mu 14 centów z jego własnych pieniędzy. Bo kiedy go policjanci ujęli na dworcu, skoro tylko przyjechał, odebrali mu kartę zwolnienia i 39 reńskich i z tych pieniędzy on żyje.

— I świadectwo szkolne z ósmej klasy — dorzucił Stebelski, — trzy książki, 39 guldenów i świadectwo szkolne z ósmej klasy, — powtórzył jeszcze raz, jakby uczył się na pamięć tego zdania. A potem zwlókł się z podłogi, usiadł i zwracając do Andrzeja swoją bladą bezbarwną twarz, zapytał:

— Et dominus... intelligit latine?

— Intelligo.

— Et germanice?

— Intelligo.

— Und Sie... Sie kennen die allgemeine Geschichte von Gindely, — die hat man mir abgenommen, — drei Bände: Geschichte des Altertums, Geschichte des Mittelalters und die... Geschichte der Neuzeit.

— Uczony człowiek... rozumna głowa... mruczał do siebie dziad, — i szkoda, że tak zmarnował się! To już taka rodzina... I nieboszczka matka tak poszła...

— Et quales scholas dominus absolvit? pytał dalej Stebelski.

— Byłem we Lwowie na filozoficznym wydziale.

— Ergo philosophiam majorem!

— Nie, — odrzekł Andrzej, — filozofia jest jedna, niema mniejszej, ani większej, jest chyba mniej i więcej fałszywa, — zresztą i to jeszcze Bóg święty wie! —

Stebelski słuchał, wytrzeszczywszy oczy, jakby nie rozumiał ani słowa, potem skłonił głowę i położył się znowu na mokrą, oślizgłą od plwocin podłogę.

IV.

— A ten żydek, – rzekł dziad po chwilowej przerwie, wskazując nogą na śpiącego na jego łóżku czarnowłosego chłopca — też tutejszy. To zdaje się jeden z „kieszonkowych mistrzów“. Nie wiadomo po co go tu trzymają. A siedzi już także dwa tygodnie. Nie prawdaż, Mytro?

— A, ot jutro akurat dwa tygodnie, — potwierdził Mytro.

— Nie wiadomo co z nim będzie, bo go dotąd ani razu jeszcze nie wołali do protokołu.

— Ani razu nie wołali — za dwa tygodnie?! — uniósł się Andrzej.

— Nie, nie wołali. Siedzi i siedzi, i pies za nim nie szczeknie, a panu inspektorowi nie spieszy się... No, a ten drugi, to nasz gospodarz, ten już tu zimuje.

— Który drugi? — zapytał Andrzej, nie widząc nikogo więcej.

— A, tu u nas jest jeszcze jeden „burger“. A wstań no leniu! rusz się z miejsca gnoju!

Na te słowa dziada poruszyło się coś w całkiem ciemnym kącie za łóżkiem, i jakby z mogiły powoli dźwignęło się straszne, jakby z innego świata, zjawisko. Był to parobek lat około 24, średniego wzrostu, o szerokiej twarzy, z płaskiem w tył cofniętem czołem, z niedużym, czarnym zarostem na wąsach i brodzie i z długim, zmierzwionym włosem, co nadawało jeszcze straszniejszego wyrazu jego i tak strasznej i dzikiej twarzy. Oczy jego wielkie i nieruchome, świeciły martwym szklanym blaskiem, blaskiem wilgotnego, zgniłego próchna w ciemności. Barwa twarzy, jak u wszystkich mieszkańców tej nory, była jak ziemia, tylko u tego nieszczęśliwca twarz widocznie od dawna nie była myta i brud jak kora osiadł na kątach jego ust. Był on zresztą prawie całkiem nagi, bo trudno nazwać odzieżą, kiedy miał na sobie ledwie kołnierz, rękawy i podłużną szmatę, zwisającą na plecach aż

do pasa. Więcej nic nie miał na sobie. Andrzej zadrżał z żalu i obrzydzenia, widząc tą tak strasznie zaniedbaną i zdziczałą ludzką istotę. Nie z rozkoszy ona zdziczała! Spojrzawszy jeszcze raz uważnie na tego człowieka, zobaczył Andrzej, że nogi jego były opuchnięte, jak konwie i błyszczały jakimś niebieskawym połyskiem, właściwym wodnej spuchlinie. Tak samo brzuch jego był strasznie wielki i wydęty i przypomniał Andrzejowi tych amerykańskich dzikich, którzy jedzą ziemię i których podobizny z takimiż strasznie wydętymi brzuchami kiedyś widział. Tylko silne i zdrowe ręce świadczyły, że to człowiek pracy, chociaż niewiadomo jaki nieszczęśliwy los oderwał go od roboty i rzucił tu na konanie.

Oto widzi pan, to nasz burger, a raczej Bowdur — rzekł dziad — on się zwie Bowdur. On gospodarzem w tej kaźni, bo tu taki zwyczaj, że kto najdłużej siedzi w kaźni, zostaje jej gospodarzem. A on tu, chwała Bogu, przezimował. Patrz pan, jak się odżywił! Precz uroki, przystojny! My jego wprost trzymamy na pokaz, może przecie kto kupi na zarznięcie. Teraz już nawet nie bardzo go karmimy, leży bez przerwy, bo, uważa pan, tak się odżywił, że nie może dobrze utrzymać się na nogach. Tylko jak co porwie

w rękę, to już jego, — o, w rękach jeszcze mocny, no, ale to głupstwo, wyrośnie i z tego!...

Wszyscy w kaźni zaśmiali się z zartów dziada, prócz Andrzeja i Bowdura. Ostatni wciąż jeszcze stał na tem samem miejscu, gdzie pierwszy raz pokazał się Andrzejowi, stał i chwiał się na swoich grubych opuchniętych nogach, — stał i bałwaniał, jakby namyślając się na jakiś śmiały czyn, a przez jego sine na pół odchylone usta widać było zaciśnięte zęby, jakby zbierał całą swą odwagę, aby się zdecydować na pomyślany krok. A oczami wolno błądził po kaźni, chociaż spojrzenie jego wciąż zatrzymywało się na człowieku, który leżał na wznak na łóżku i drzemał wśród niegłośnego szmeru w kaźni.

— On to i do miasta nie wychodzi — ciągniął dalej dziad — ani na robotę nie idzie; początkowo sam nie chciał, a teraz choćby może chciał, to już go nie puszczą.

— E, co tam, sam nie chcę! odezwał się ochrypłym głosem Bowdur. — Niech ich djabli porwą z ich robotą! Kto mi co za nią zapłaci?

Rzekłszy to, Bowdur przestąpił śpiącego na podłodze starego żyda, przestąpił chłypającego wieśniaka i bezgłośnym krokiem poszedł do skopca, podniósł go jak piórko

w górę, napił się wody, a potem sięgnął pod głowę drzemiącemu wieśniakowi, wydobył niewielką glinianą fajkę, wydłubał z niej niedopałki zadymionego tytoniu t. zw. „bagę“, wsypał to do ust i począł zwolna przeżuwać, wypluwając od czasu do czasu jakąś czarną maź, jaka przylepiała się do ścian i podłogi. Spełniwszy ten śmiały czyn, odetchnął lżej, stanął pośrodku kaźni i kiwnął ręką:

— Otóż nie pójdę na robotę! Łysego czarta zjedzą! Raczej tu zgniję, a nie pójdę! Po tych słowach znowu splunął czarną mazią na ścianę, tuż nad głową spiącego żyda.

— A za cóż ciebie tu trzymają tak długo? — spytał Andrzej drzącym głosem. Bowdur spojrzał na niego dziko, jakby Andrzej swojem pytaniem uraził go w bardzo bolesne i nietykalne miejsce.

— Trzymają, bo trzymają! — bełknął, a potem dodał: Chcą mię prowadzić ciupasem do tej wsi, gdzie się urodziłem, a ja mówię: Nie urodziłem się w żadnej wsi. — A gdzieżeś ty się urodził? — Urodziłem się w drodze. — No, ale na czyjim gruncie ta droga?

— Ta droga na niczyjim gruncie, bo sama nie ma gruntu: urodziłem się na

wodzie, jak moja matka przejeżdżała promem przez Dniestr. — A gdzież ten prom?

— Pewnie połynął z wodą, bo u mnie w zanadrzu pewnie go niema. — No a gdzież ciebie chrzczono? – Nie pomnę tego – idźcie spytać tych, co mnie do chrztu trzymali, szczęście-dolę odebrali. — A gdzież ty wychowałeś się? — Między złymi ludźmi. — A w której wsi? — Ludzie wszędzie źli! — Oto taki był mój protokół. Więcej o nic nie pytali, tylko kazali tu zaprowadzić i tu, chwała Bogu, zamknęli jak pod pieczęcią i już więcej nie dokuczają żadnemi głupiemi pytaniami.

Bowdur znowu splunął, przestąpił znowu chłypającego wieśniaka i spiącego żyda i utonął w swoim kącie, przykrywszy nogi podartym workiem. —

Andrzejowi zrobiło się jeszcze straszniej, kiedy wysłuchał opowiadania Bowdura. — I cóż dało życie temu człowiekowi? Jakie ma on teraz wspomnienia, jakie nadzieje? Próbował sam w myśli postawić się w to beznadziejne położenie i czuł, że myśli mu się mącą, że prędko udusiłby się w tej strasznej otchłani. Bezsprzecznie, podrażniona wyobraźnia Andrzeja dodawała tu wiele lichego do niedobrego, malowała mu sierotę, co nie znał ojca, popychadło dla każdego,

w czyjekolwiek ręce dostanie się, zdeptanego i zgnębionego ludzką wzgardą, który nie zaznał w swojem życiu ani radości ani szczerości ani kochania. A tymczasem rzecz miała się nie zupełnie tak. Miał i Bowdur chwile szczęścia i miłości, miał i on szczerych druhów — takich samych beznadziejnych biedaków i sieroty jak i sam — ale wszystko to teraz pokryło się gęstą warstwą zdziczenia i zapomnienia i myśl jego jak zaklęta, wijąc się między odrobiną bagi a kęsem chleba, nie sięgała dalej ani w przeszłość ani w przyszłość. A panom inspektorom nie spiesznie było wypuścić go, – więc też siedział Bowdur, zapomniany przez Boga i ludzi, siedział i puchł i gnił żywcem, zapominając o wszystkiem, co go kiedyś na świecie otaczało, nabierając z równoczesnym upadkiem sił czemraz więcej wstrętu do pracy.

— Więc on żyje samym tylko chlebem?— spytał Andrzej dziada.

— Samym suchym chlebem i to już sześć miesięcy. I to tak żyje, że kiedy rano poszle sobie kupić chleba za 14 centów, to weźmie go przed siebie i zje wszystek, a potem czeka do następnego dnia, a jak nie, te prosi tego głupiego bojczuka, aby mu wieczorem dał kawałek chleba, — rozumie się na wieczne oddanie...

— No, i nigdy nie wychodzi on z ciupy?

— Nie, odkąd ja tu jestem, nie widziałem go na dworze. Nie wiem, jak było przedtem. Bowdurze, tyś przedtem wychodził kiedy?

Bowdur zakrztusił suchym kaszlem, a potem bełkotał: — Nie, nie wychodziłem nigdzie, tylko raz do protokołu.

— A jak on tu przetrzymał zimę w tym Adamowym stroju, tego już wcale pojąć nie mogę — powiedział dziad. — Kiedy mnie sprowadzono, to były już ostatnie mrozy. Przychodzę tu, — zimno straszne, a on sam w kaźni leży w tym samym kącie gdzie teraz i tymsamym przykryty workiem.

Posiniał jak bez i nic nie mówi. Pochodziłem trochę, zacierałem ręce i widzę, że nic nie pomaga. Wtedy krzyknąłem: Hej ludzie, taż jam przecie nie syn boży, za cóż wy mnie tak męczycie? To tylko syna bożego faryzeusze tak męczyli, jak wy mnie! Wtedy oni na mnie trochę zgniewali się, a w końcu zapalili w piecu dla oka i trochę przyszliśmy do siebie. I odtąd aż do końca mrozów palili nam, bodaj co drugi dzień.

— A jak długo was nie było, to nie palono? — spytał Andrzej zadrżawszy jakby mrozem przejęty.

— Powiada Bowdur że palono, ale rzadko.

— A tyż czemu nie upominałeś się? spytał Andrzej.

— Ah, nie upominałem się — gniewnie odpowiedział Bowdur. — Z początku i ja krzyczałem, ale mnie bili, bo byłem sam.

— Sam byłeś! ze zdziwieniem zawołał Andrzej. — I długo byłeś sam?

— Cały miesiąc. Nikogo nie sprowadzali, a jak kogo przywiedli, to na złość mnie umieszczali w drugiej kaźni.

— A lekarz tu nigdy nie zagląda?

— E, czego jeszcze nie stało! Lekarz! A lekarzowi któż tu da co! — powiedział dziad, gorzko uśmiechając się.

— Ależ przecie, zdaje się, są przepisy, że lekarz ma co dnia albo przynajmniej raz w tygodniu obejrzeć wszystkie więzienia, czy zdrowo tam ludziom siedzieć.

— Może być, że są takie przepisy, ale nie u nas w Drohobyczu. Zresztą cóż nam do przepisów! My sobie sami panowie!

— A więc nigdy tu nikt nie zagląda z nadzoru?

— Nikt, nigdy.

V.

W kaźni powstał szmer. Śpiący zbudzili się, powstawali, tylko Stebelski leżał na swojem miejscu i Bowdur oparłszy głowę na

łokciu bałwaniał w swoim kącie i gryzł bagę. Stary żyd począł wypytywać Andrzeja z początku po żydowsku, a następnie po rusku, a obok niego siedzący na podłodze wieśniak znowu zapłakał, objął głowę rękami i począł kołysać się w tył i w przód, mówiąc przerywanym głosem:

— I jaki mnie-e zły los wiódł do te-ego Drohobycza! Nie lepiej było siedzieć spokojnie w Borysławiu, albo za tych marnych 50 centów zarobionych kupić mąki dla dzieci i iść do domu!...

— Też gospodarz — żartował dziad. — Pracował dzień w Borysławiu, zarobił pięć szóstek, a dziś przy święcie wybrał się do Drohobycza kupić chleb. I ubrał się biedaczysko jak stryjek na Wielkanoc! Spodnie niczego, — lżej iść, jak na człowieka nie wiele płótna. A gónka też odświętna, — chciał zakasać poły i zdaje się przez omyłkę pooddzierał. A może był gdzie w gościnie, i szczerzy przyjaciele nie chcieli puścić, chwycili za poły, no, a grzesznemu człowiekowi trudno usiedzieć, chce iść do miasta popatrzeć na ludzi i siebie pokazać i trach zostawił poły i uciekł od dobrych przyjaciół! A tu skoro się tylko zjawił, stanął koło kościoła na najbardziej widocznem miejscu, zaraz przyskoczyli doń boscy apostołowie,

i pod ziobra: Sługa waszmości, prosimy do salonów!

Chłop płakał cały czas, a drudzy śmiali się.

— Dziateczki moje — zawodził — cóż z wami stanie się?... Zostawiłem was same w chacie taki drobiazg, bez okruszyny chleba! One tam z głodu zginą, jeżeli jutro nie wrócę do domu!...

— O, dalekie jeszcze to jutro! — rzekł czarnowłosy żydek. — Było wracać dziś, a nie iść po szczęście do Drohobycza!

— Raczej milczałbyś i nie dorzynał mnie bez noża! — krzyknął wieśniak i znów skłoniwszy głowę, załkał jak dziecko.

— Ależ nie, rzekł po chwili stanowczym głosem — oni muszą mnie dziś uwolnić. — Cóżem ja im winien? Czy ukradłem co, czy zabiłem kogo? Za cóż mieliby mnie trzymać?... I przy tych słowach podniół się z podłogi i stanął koło drzwi, przytuliwszy twarz do zabitej wizytyrki, w której przez szparę widać było część sieni i migały cienie przechodzących policjantów.

— Dziadu Pańku! — odezwał się tymczasem chłop, leżący na wznak na łóżku — dziadu Pańku, czy nie wy to zabraliście mi z fajki resztę tytoniu?

Nie, nie ja — odrzekł dziad — tam u was inny był gość.

— Któż taki? spytał chłop, groźnie nasępiwszy gęste czarne brwi.

— A ot nasz „burger“! Patrzcie, jak gryzie maczkę.

Chłop milczał przez chwilę, gniewnie spoglądając w kąt, gdzie przykucnął Bowdur, a następnie, nie mówiąc słowa, podszedł do Bowdura i zacisniętym kułakiem uderzył go tak silnie po głowie, że Bowdur głową uderzył o ścianę.

— Ty Bowdurze śmierdzący, czy ci to raz mówiłem, żebyś do mnie w gościnę nie zachodził! Nie tknij tego, co moje! Precz od mojej pracy!

Zamiast odpowiedzi, Bowdur z całej siły kopnął chłopa nogą w brzuch, chociaż sam przytem taki uczuł ból w nodze, że aż jęknął.. Chłop zachwiał się i oparł się plecami o ścianę.

— A, piorun by cię rozstrzaskał — to ty mi się tak odwdzięczasz za moje dobro?

— Ażeby ci tak dobrze było i na drugim świecie, świntuchu! — krzyknął i sobie Bowdur z trudem zrywając się na nogi – Ty byś za szczyptę niedopałka łeb człowiekowi rozbił!

— Za swoje zawet oko wybiorę! — odrzekł chłop. – Mego nie ruszaj! Rozumiesz?

Postaraj się sam, a będziesz miał. Ja twego pewnie nie tknę!

— O, pewnie nie tkniesz, jak będę pilnował! A niechno bym się tylko odwrócił, to zaraz chaps! Znamy się na takich!

Zamiast odpowiedzi chłop zawinął się kułakiem na Bowdura.

— I cóż, żal ci tej maczki? — rzekł ponuro spoglądając mu w oczy. Masz ją, kiedy cię tak za nią ząb boli! I Bowdur, powiedziawszy to, wypluł przeżutą maczkę na twarz chłopa. —

Spłynęła czarna, cuchnąca maź po twarzy, po brodzie, spłynęła na koszulę, zostawiając czarne smugi poza sobą. Dziad Pańko zaśmiał się, Mytro, drżący skulil się na swojej gónce, obawiając się bójki.

— I cóżeś mi zrobił? coś ty psie wart za to? — chrypnął chłop przytłumionym ze złości głosem, przystępując z kułakami do Bowdura.

— Ja ci oddałem twoje, jeszcze nawet z dodatkiem! — odrzekł ponuro Bowdur i nie czekając zaczepki kopnął chłopa kolanem w brzuch tak silnie, że ten jęknął, zachwiał się i jak długi runął na podłogę. Uczyniwszy to, Bowdur znowu spokojnie położył się w swoim kącie, nie zwracając uwagi na krzyk i gniew potłuczonego chłopa.

— „To nasz starszy polny“, — rzekł żartem dziad Pańko do Andrzeja, — ten pilnuje swego jak oka w głowie i wciąż zbiera się wyjąć temu Bowdurowi oko, ale jeszcze dotąd miał litość nad nim. A to warto — dalibóg — za garść bagi — oko!

— A wy skąd gospodarzu? — zapytał Andrzej chłopa, ale ten odsapując gniewnie, już znuwu leżał na łóżku, pykał fajkę i uporczywie wpatrywał się w powałę, jakby nie słyszał głosu Andrzeja.

— Oni z Dorozowa, — odezwał się żartobliwie dziad Pańko. To wielka wies Dorozów i żyją tam wielcy wszobojcy, wielcy podpalacze, sławni złodzieje, którzy ciągle się kłócą *o moje i twoje* i tak już w tem pomięszali, że w końcu nikt nie wie, co moje, a co twoje.

— Zamknąłbyś dziadu wrota i milczał a nie plótł bredni! burknął nań Dorożowki.

— Pfuj na twoją głowę — odpowiedział, uśmiechając się dziad Pańko — i tu ci krzywda jeszcze! Przecież to, co ja mówię, nie twoje!

...Otóż i jego grzesznika — ciągnął dalej dziad — zamknęli też za „moje“ i „twoje“: gdzieś u jakiegoś żydka kupił skórę za 30 centów a skóra była warta półtora guldena. Więc żydek 30 centów do ręki i w nogi,

a jego, najmitę bożego żydzi za bary i do Iwanowej chaty!...

Dziad zaśmiał się znowu, a za nim Mytro i czarnowłosy żydek, którego dziad ochrzcił był mianem „kieszonkowego mistrza“. Dorożowski nie odzywał się więcej, tylko sapał, dmuchając dymem z ust wprost na powałę. A Andrzej cały ten czas stał koło ściany obok łoża dziada, trzymając przewieszony przez rękę palto. Nogi bolały i trzęsły się, ale nie mógł przemóc siebie, żeby gdziekowiek usiąść wśród tego wstrętnego niechlujstwa. Nie mogą ustać na miejscu, począł chodzić po kaźni przeciskając się między łóżkami i leżącymi na ziemi ludźmi, nie mogąc zresztą zrobić więcej jak pięć — sześć kroków. Wszystkie obrzydliwe i smutne zdarzenia więziennego życia, co naraz jakby z wiadra buchnęły na niego zamroczyły mu głowę, niosły się w jego myśli jak pstrokata, bezkształtna i wściekła zamieć. Cała nędza, cała ohyda, całe zepsucie okrążające go w tej ciasnej klatce i poza jej ścianami, w całym świecie, na dnie całego ludzkiego społeczeństwa, na które i on czuł się w tej chwili zepchniętym, cały ten ludzki ból swoim bezmiernym ciężarem przygniótł go, objął swojemi szerokiemi, silnemi ogniwami i zgłuszył w jego duszy własne piekące cierpienie.

A tam za ścianami tej przebrzydłej klatki, na podwórzu zalanem słońcem i wybrukowanem gładkiemi płytami śmiali się głośno policaje, grając „kiksa“. Do środka dolatywały uderzenia palestry o „kiczkę“, dolatywały śmiechy i spory, krzyk żydów przyłowionych na drodze wraz ze stadem wołów i zapędzonych na komunalne podwórze. Słychać też było skrzypienie żelaznej konewki, w jakiej ktoś wyciągał wodę z kiernicy. Więcej nic nie było słychać, ani widać; wiecznie ten sam ponury zmierzch, ten sam zaklęty i nieruchomy cień stał na brudnych, oplutych ścianach, na łóżkach i na mokrej podłodze.

— Czy tylko rychło nastanie wieczór — przemówił dziad Pańko, nabijając fajkę tytoniem. — A pan — spytał Andrzeja — nie pali?

— Nie palę. Wiele rzeczy nauczyłem się, ale tego nie.

— No, toś pan szczęśliwy chłowiek. A ja, dalibóg skonałbym tu, jakby mi zabronili palić.

Tymczasem Mytro, chcąc popatrzeć, czy daleko jeszcze do wieczora, stanął na żelazny kawalet łóżka, chwycił się wyciągniętemi rękami za okienną kratę, podniósł się na rękach nieco w górę i wyjrzał nadwór.

Ale w tej chwili dał się słyszeć jakiś trzask i Mytro jakby oparzony puścił kratę i runął na podłogę, uderzywszy bokiem o żelazne łóżko.

— A ty złodzieju, nie możesz tam siedzieć kamieniem! Będziesz wyzierał! — dał się słyszeć z nadworu krzyk kaprala, który przechodząc właśnie obok okna z rzemienną trzepanką w ręku, ujrzał ręce Mytra na kracie i co siła uderzył trzepaczką. Jęknął Mytro, wyprostował się i z żalem spojrzał na swoje ręce, na jakich wpoprzek nabiegły dwa szerokie sińce, jak dwie kiełbaski. Ze łzami w oczach, ale z uśmiechem na ustach rzekł do dziada Pańka: — Niebawem zajdzie słońce! Potem usiadł na łóżko, otarł rękawem łzy i począł chuchać na bolące ręce.

VI.

Zastukała kłódka u drzwi, zgrzytnął klucz, uchyliły się drzwi, a w otwór, nie wpuszczając do kaźni ani promienia światła, wtłoczyła się z nadworu głowa kaprala.

— Andrzej Temera! Do pana inspektora! — zawołał kapral i zamknął drzwi za wychodzącym Andrzejem.

W kaźni po jego odejściu ucichło na chwilę.

— Jakieś uczciwe panisko, biedak — rzekł dziad Pańko.

— Ot jakiś leń i włóczęga — bąknął pod nosem Dorożowski gospodarz. — Uczciwych panów nie prowadzą ciupasem!

— A uczciwych Dorożowskich gospodarzy prowadzą? — zapytał złośliwie Mytro.

— I ty żabo pchasz swoją łapę do towarzystwa! Raczej byś milczał i dychał! — krzyknął gniewnie Dorożowski.

Znowu ucichło, tylko słychać było pykanie fajki w zębach dziada Pańka, i żałobne chłypanie obdartego człowieka, co wciąż jeszcze stał pod drzwiami, jakby czekał na cud, który nagle otworzy zasztabowane drzwi i puści go na wolność z jego pięcioma szóstkami do drobnych, głodnych dzieci.

Znowu zgrzytnęła kłódka, otworzyły się drzwi i wpuszczono Andrzeja z przewieszonem przez rękę paltem.

— I cóż mówili? — spytało równocześnie kilka głosów.

— Nic — odpowiedział smętnie Andrzej.

— Wypytywali i kazali czekać, aż przyjdą papiery. Umilkł i począł chodzić po kaźni. Milczeli też i inni aresztanci. Wszystkim przypomniało się, że i każdy z nich już tak długo czeka na przyjście papierów i niejednemu obok własnego bolu, ścisnął serce żal za tym młodym człowiekiem, którego jedno słowo starosty i inspektora skazywało

na takież długie czekanie jak i ich — że to słowo, tak jak ich, odrywało go od znajomych, od całego wolnego, pięknego świata i zawlókł go tu w ten wstrętny loch, na dno społecznej niewoli!...

Bowdur pierwszy przerwał ciężkie milczenie. Jak upiór zwlókł się ze swego kąta i zbliżywszy się do Mytra z wyciągniętą ręką, powiedział ostro: — Mytrze, daj chleba!

— Smoły mu daj gorącej nie chleba! — rzekł Dorożowski.

Ale Bowdur nie słuchał tego miłego ostrzeżenia i podniósłszy rękę prawie do nosa Mytra, powiedział drugi raz: Daj chleba!

— Ależ ja sam mam mało, nie wystarczy jutro na śniadanie, póki przyniosą świeży. A muszę iść na robotę!

— Dawaj chleba! — nalegał uparcie Bowdur, nie słuchając żadnych argumentów.

— Przecież ci mówię, że sam mam mało.

— Ale ja nie mam ani krychty, a jestem głodny!

— Było nie zeżreć wszystkiego rano, trzeba było zostawić na wieczór! — powiedział dziad Pańko.

— Milcz stara torbo! odszczekał Bowdur i znowu do Mytra: Słyszysz, czy nie, dawaj chleba!

Ale dziad Pańko tym razem nie zniósł zniewagi. Jak chłopak zerwał się z łóżka i zastukał o podłogę szczudłem:

— Ty gniłoboki potworze — krzyknął do Bowdura, cóżeś ty tu za pan, aby do ciebie nie wolno było słowa przemówić? Ty bezportkowy dziadu! Marsz do kąta i gnij dalej, póki cię robaki do reszty nie stoczą!

I silną ręką odepchnął Bowdura od Mytra, aż się potoczył pod ścianę.

— No, no, trącaj, trącaj, aby cię strąciło w gorączkę! mruczał przez zęby Bowdur.

— Ciebie samego niech trąci w febrę! odciął się Pańko. Czego czepiasz się chłopca? Czy twój chleb je? Lezie i swoje łapy do samego nosa chłopcu pcha: Mytrze, dawaj chleba!

— A tak, tak mi się chce, cóż mi zrobisz! upierał się Bowdur.

— A ja ci co mam robić, czarcie! Niech ci ten zrobi, co po smrekach się drapie, nie ja!...

Andrzejowi przykro było słuchać tej kłótni. Począł uspokajać dziada, następnie wyjął z kieszeni spory kawał chleba i podał Bowdurowi, mówiąc: Masz, powieczerzaj, kiedyś głodny. To mi jeszcze zostało z domu, a jeść nie mam ochoty.

— E, panie — rzekł dziad Pańko — pocóż pan rozdaje chleb? Jak nie teraz, to za godzinę, albo jutro rano zechce pan, a nie rychło przyniosą.

— Nie, nie, nie będę głodny — odrzekł Andrzej, — a choć zgłodnieję, wytrzymam, aż przyniosą.

— A ma pan przynajmniej za co posłać?

— E, mam. Mam przy sobie 50 guldenów; wziąłem zaliczkę od tego, do którego jechałem; trzeba będzie trochę wydać z tych pieniędzy, chociaż, prawdę mówiąc, nie moje.

— No, pewnie, w takiej przygodzie, musi się człowiek ratować, jak może — rzekł dziad Pańko.

A tyczasem Bowdur patrzył na Andrzeja dziwnemi, strasznemi oczami. Trzymał jeszcze w ręce chleb, nie dziękował, nic nie mówił, ale zdawało się, jakby Andrzej dał mu nie kawałek dobrego pszennego chleba, a rozpalone żelazo do ręki, tak cała twarz Bowdura skrzywiła się i przyjęła nieopisanie dziki wyraz. Czy ból, czy żądza, czy wdzięczność się malowała na niej, aresztanci jednak nie zwracali na to uwagi. Bowdur, popatrzywszy chwilę na Andrzeja, jakby mierząc oczyma jego siły, ścisnął w prawej dłoni chleb, odgryzł naraz spory kawał i wrócił do kąta, gdzie

też wnet znikł z oczu; słychać było tylko głuche cmokanie ust żujących suchy chleb.

— Mój Boże, różni ludzie bywają na świecie — prawił dalej dziad Pańko. — Jeden, toby, ot jak nasz Dorożowski, za kawał chleba rodzonemu bratu oko wybrał, a inny znowu, choć i sam głodny, oddaje drugiemu ostatni kęs. W niejednej wsi naród kłóci się i gryzie między sobą o miedzę, o mostki, o trochę trawy, o bodłak, — piekło! Tam ci ani dziadowi nikt nic nie da, ani podróżnego nie przyjmie, ani nikt nikogo nie poratuje w potrzebie. I wciąż tam słychać tylko: to moje! a to twoje! A wciąż marnują to swoje i coraz im ciaśniej na świecie. W innych wsiach znowu, ludzie żyją jak bracia, w zgodzie i przyjaźni... Kłótni tam, ani obmowy niema: jeden drugiego w pracy wspomoże, pieniądzmi i chudobą w potrzebie poratuje, i biednego nie opuści i podróżnego przyjmie, nakarmi, no i jakoś z tem wszystkiem nie ubożeją — żyją dostatnio i dzieciom jeszcze cosik zostawią. Już to o tem kto, jak kto, ale ja wiem dobrze, choć nie długo chodziłem po proszonem. Ale to wam tylko powiem, że tu na podgórzu naród daleko lepszy, niż na podolu.

— Bo może tam uboższy? — zauważył Andrzej.

— Bóg jeden wie, jak to tam jest — odrzekł dziad. Niby to tak, a niby nie tak. Bo to na podolu i grunta lepsze, i gospodarze bogatsi, a jeno taka jakaś zawiść między narodem, taka złość, że niech Bóg uchowa. Tu zaś, przyjdź i do najuboższego, to ci nie odprawi człowieka z niczem, a bodaj cokolwiek wetknie mu w rękę.

Tymczasem słońce zaszło i w kaźni zapanowała zupełna ciemność. Dziad, a za nim i Mytro uklękli do modlitwy.

— No, czas nam spać, — rzekł dziad skończywszy pacierze. — Nie wiem tylko, gdzieby tu was, paniczku, umieścić. Ustąpiłbym wam chętnie miejsca, ale ja stary, kaleka...

— Nie, nie, nie potrzeba — przerwał mu z żywością Andrzej. — Spać i tak mi się nie chce; zdrów jestem i silny, przepędzę więc tę noc na nogach, a potem zobaczymy, co Bóg da.

— E, paniczu, nie tak to łatwo zrobić, jak powiedzieć! — odrzekł dziad. — Możebyście wy Dorożowski, odstąpili wasze miejsce paniczowi?

— U nas nie ma miejsca dla paniczów, mruknął Dorożowski. Panicze niech panują, a nie włóczą się po aresztach. A kiedy ich już licho tu przyniesie, to mogą leżeć pod

łóżkiem. Tam bezpieczniej, można się wygodnie przespać i być pewnym, że się nie spadnie!

Dotknęły Audrzeja te szorstkie słowa, lecz nic na nie nie odpowiedział i ponownie prosił dziada Pańka, aby się o niego nie troszczył, bo jakoś sam już sobie poradzi...

Wtem Mytro szarpnął go z lekka za połę i szepnął:

— Wy, panie pochodźcie jeszcze chwilę, a ja zasnę; skoro się jednak zmęczycie i sen was zmoże, to mnie zbudźcie, ja wstanę natychmiast i was puszczę na moje miejsce.

— Dobrze bracie, Bóg zapłać — odrzekł Andrzej. — Masz tu mój płaszcz, przykryj się nim, bo w nocy będzie zimno, a mnie on — choć lekki — ciężyć poczyna na ramieniu.

Wszyscy się pokładli, jedni rozebrani, drudzy w ubraniu, jeden tylko Andrzej, szeroko rozwarłszy oczy, aby nie zawadzić w gęstej ciemności o śpiacych, zaczął zwolna chodzić po kaźni, jak zaklęta dusza, zlekka stukając butami o mokrą asfaltową pasadzkę.

VII.

Myśli jego, przytłoczone ciężarem wszystkich doznanych wrażeń, rwały się z początku i wikłały. — Bezładne skróty obrazów,

które widział dnia dzisiejszego, paliły mózg jego krzyczącą niesprawiedliwością, ścinały krew w żyłach swoją ohydą. Lecz zwolna, gdy ciemność coraz gęstsza osłaniała mu oczy, myśli się uspokajały i porządkowały, pamięć zapanowywała nad zwidami wyobraźni i duch z trudnością wprawdzie, ale szybko wydobywał się z tej ciemnej toni na jasne przestworza, zasiane gwiazdami, na czyste kryształowe wody, na wolny wesoły świat, z którym się pożegnał dziś rano, nie wiedzieć na jak długo.

A świat ten nigdy może nie wydawał mu się tak pięknym, wesołym i wolnym, jak tego właśnie poranka! Nigdy jeszcze dusza jego nie czuła w sobie tyle siły i energji jak przed owym strasznym, głębokim upadkiem. Nigdy jeszcze tyle świetnych nadzieji na przyszłość nie roiło mu się w głowie, jak na kilka chwil przed ciosem, co je miał wszystkie w samym zorodku zniweczyć. Nigdy gwiazda miłości nie jaśniała mu tak pięknie, tak uroczo, jak właśnie dziś przed ową chwilą nieszczęsną, w której miała zgasnąć, może na wieki.

Całe jego życie płynęło dotychczas w biedzie i niedostatku, w ciężkiej walce o utrzymanie i naukę. Sierota, bez ojca i matki, kończył szkoły, utrzymując się z własnej

pracy. Od najmłodszych lat przywykł do pracy i ukochał naukę, a nim wyżej postępował w klasach, z tem większym zapałem lgnął do niej. Największą dla niego radością było to, że natrafił na dobrych nauczycieli, którzy umieli go zająć, zachęcając do samodzielnego rozmyślania i pracy. Los zrządził, że przed samą maturą zaczął chorować na piersi i oczy.

Po maturze więc dla poratowania zdrowia wyjechał Andrzej do kolegi - przyjaciela w góry i tam poznał siostrę jego, Hanię. Nieznane mu dotąd uczucie miłości dla kobiety obudziło się w nim nagle, młoda krew zawrzała, zaczął patrzeć inaczej na świat rzeczywisty i mgła poglądów książkowych, zasłaniająca mu dotąd istotę rzeczy, pierzchała coraz bardziej. Przytem i nowe, uniwersyteckie otoczenie, naprowadziło go na inne myśli, rozwijając nowe poglądy na życie, na celowość nauki, oświaty i wszystkich usiłowań ludzkich.

Własna jego przeszłość przedstawiła mu się w odmiennem świetle, liczne wyniesione ze szkoły przekonania i zasady chwiały się i znikały bez śladu. Był to czas cieżkiej wewnętrznej walki, długiej i trawiącej, wśród której miłość go tylko podtrzymywała, dodając mu sił i odwagi.

Postanowili byli oboje z Hanią poświęcić swe życie walce o wolność pracy, myśli i nauki, serca i rozumu. Wspólnie roztrząsali te nowe, wyższe idee, śledzili rozwój ich w całym świecie, cieszyli się z przybywających zwolenników i starali się na wzniosłych zasadach oprzeć swój własny światopogląd. Były to błogie chwile dla Andrzeja i Hani, jak bywa zazwyczaj, gdy człowiek z człowiekiem dzieli się najdroższemi myślami i podaje bratnią dłoń. Lecz obojgu im jeszcze czegoś brakowało. Po gorących sporach o teorję, po przeczytaniu najpiękniejszych i najlepszych dzieł o przedmiocie, którym się zajmowali, mimowolnie zaglądali sobie w oczy głęboko— jak gdyby tam chcieli wyśledzić jeszcze coś więciej, nie tylko zgodność teorji. Oczy ich pałały płomieniem gorętszym od ognia przekonań, usta drżały nie od żywości wywodów naukowych, a policzki okraszała nie sama tylko radość z nowej, odkrytej prawdy. Krew żywiej im grać zaczynała, ilekroć się zeszli, a siła, która ich pociągała ku sobie, była wcale inną, potężną mocą... Nieraz też wśród czytania, wśród najzawziętszych sporów teoretycznych, głos ich zadrżał i zwolna zamierał na drgających ustach, ręka szukała ręki, a wzrok lubego wzroku i...

— Ach! — jęknął półgłosem Andrzej, spieszniej krocząc po ciemnej kaźni, — czemuż te chwile tak szybko przeminęły, czemuż nie trwały dłużej? Czyż musiałem cię utracić i utracić na zawsze, Haniu, szczęście moje?...

Z uczuciem mimowolnej trwogi przebiegł myślą czasy prześladowania i męki za ukochane idee. Widział się we więzieniu, przed sądem — we wspomnieniach jego przesuwały się zjadliwe, bezwstydne urągania pismaków i ich drwiny z jego poglądów. Drżał na całem ciele, wspominając to wszystko, potem przyszła mu na myśl jego strata: Rodzice Hani zakazali mu bywać w ich domu, widywać się z Hanią i pisywać do niej, przejmowali nawet listy, które jej ukradkiem posyłał, aby w utrapieniu swojem choć kilkoma słowy podzielić się z ukochaną istotą. Jeszcze jakieś dwa, trzy razy zabłysło mu dawne szczęście na kilka chwil i wnet zapadła noc, ciemna noc smutku, żalu, rozpaczy... Hanię zmuszono niedawno wyjść za mąż za innego. I tę stratę jednak Andrzej przebolał.

— Ha! Cóż — myślał, — on człowiek dobry, szczery, myśli jej nie stłumi, serca nie zagłuszy, — ona z nim szczęśliwa będzie, pokochała go, — lecz ja, ja!... Czemże jestem bez niej? Wszak ona była moją duszą, moją

siłą, nadzieją! Czemże teraz jestem bez duszy, bez siły, bez nadzieji?... Trupem! trupem — chodzącym — do czasu!

Wszystko, com najmocniej ukochał w świecie, dziś stało się dla mnie goryczą. Gdybym nie był pokochał jej całą duszą, mógłbym teraz jeszcze pokochać drugą, odnaleźć utracone szczęście! Gdybym nie był ukochał wolności całą mą istotą, nie znosiłbym teraz niewoli, lub też niewola nie byłaby tak nienawistna dla mnie, tak bolesna!

A dalej wspominał ostatnie widzenie z nią już po ślubie z tamtym, widzenie zda się, wczoraj, dziś z rana! Ich rozmowa, ich radość zmieszana z żalem i goryczą, wszystko to pali go, męczy, przygniata. A jednak był szczęśliwy wówczas, ach, jak szczęśliwy, bo w owych chwilach właśnie uczuł, że miłość jego jeszcze nie ostygła, nie zamarła, że ona żyje, pała jak dawniej, zupełnie jak dawniej. Prawda, że teraz dziesięćkroć głębiej odczuł swą stratę, rana już trochę zabliźniona wpływem czasu, rozwarła się na nowo; krew uśpiona żalem i cierpieniami znów zagrała, lecz co tam! Wraz z dawną miłością poczuł w sobie i dawną siłę, dawną chęć do pracy, do walki za wolność...

— Haniu, serce moje, cóżeś ty ze mną zrobiła? — szeptał upojony złudą szczęścia.

— Cóżem ja zrobiła? Wszak sam mówiłeś, że mnie nie wiążesz... A ja tak wiele, tak strasznie wiele wycierpiałam dla ciebie! Lata całe!...

Łzy potoczyły się z jej oczu, a on przyciska ją do serca, jak gdyby dawne, urocze chwile ich swobodnej miłości jeszcze nie przeminęły.

— Haniu, szczęście moje — cóżeś ty zrobiła ze sobą? Czy znajdziesz dość sił, aby się oprzeć wszelkiej ohydzie, rozwijać się i bronić wolności i dobra, jakeśmy to sobie nieraz postanawiali?

— Nie zapomniałem ja tego, mój miły, i nigdy nie zapomnę. A sił starczy mi na to. Mój... mąż pomoże mi!

— A ze mną co się stanie, Haniu? Któż mnie dopomoże wytrwać na ciernistej drodze samemu?

Uśmiechnęła się słodko.

— Nie trwóż się, mój miły, nie frasuj! Jeszcze wszystko zmieni się na dobre i wszyscy będziemy szczęśliwi, wszyscy!...

Andrzej chwycił się za głowę oburącz i znów zaczął nerwowo chodzić po kaźni.

Chodził dalej z szeroko rozwartemi oczyma, jak gdyby chciał wciągnąć w siebie tę gęstą ciemność, ten mrok. I zdawało mu się, że w istocie płynie mrok do wnętrza jego

duszy tysiącem potoków, płynie nieustannie wszystkimi otworami, zalewa mu wszystkie nerwy, napełnia mięśnie, kości i żyły, że to już nie krew, lecz gęsta ciemność leje się chłodnym strumieniem do piersi jego i serca. Dreszcz go przejmuje...

Słabo mu się zrobiło, lecz trwało to krótką chwilę. Chciał się otrzasnąć z tej mary, ale wnet się przekonał, że to nie mara senna, lecz smutna rzeczywistość!

Więc chodził dalej niezmordowanie, wciągając wszystkiemi porami chłodnawą wilgoć, nasiąkał nią jak gąbka, oddychał nią, czuł jej chłodny powiew w gardle, w płucach — wszędzie. I zwolna uczuwał ulgę. Ból ustawał. Wyobraźnia zamierała; przed oczyma duszy przestały się przesuwać obrazy smutne, zarówno jak i wesołe. Wszystko oniemiało, przycichło. Zdawało mu się, że się pluszcze z cicha w czystych, lekkich falach, a te fale cichutko szemrząc pieszczą go rozkosznie. Aż tu przecięto mu żyły — tak jakoś nieznacznie, bez bolu, i krew z nich płynie, tak łagodnie, tak słodko i mile. Wypływa ta niespokojna, burzliwa krew rewolucyjna, a zamiast niej w żyłach wolno zaczyna obiegać gęsta, chłodnawa ciemność... Wraz z ostatniemi kroplami krwi, łzy palące polały się z oczu Andrzeja...

Daleki odgłos dzwonu, jakby uderzenie pioruna, przerwał nagle ciszę, budząc Andrzeja z zadumy. Drgnął przerażony i oprzytomniał w oka mgnieniu.

— Pierwsza godzina, a jam taki zmęczony, ledwie żyję! — szepnął i omackiem zaczął szukać miejsca na łóżku obok Mytra.

— A to pan? — szepnął budząc się Mytro — połóż się pan, a ja wstanę.

— Nie, nie trzeba, odrzekł Andrzej, — dla mnie dość miejsca o tu, koło ciebie!

I położył się przy Mytrze objąwszy rękami jego szyję, łzy znowu mu się polały z oczu, — zaczął gorąco całować twarz Mytra, a łzy jego padały dużemi kroplami na młodą, dziecięcą twarz nieoświeconego brata.

— Czego płaczecie, panie? pytał z współczuciem Mytro.

— Płaczę, bom nieszczęśliwy, bracie!

— Nie płaczcie — uspokojał go chłopiec, całując go serdecznie, jakoś to będzie. Ja może jeszcze nieszczęśliwszy od was, a nie płaczę!

— Mrok i wilgoć coraz gęściej zapełniały kaźń przygniatając swym ciężarem wszystkie serca, które tam biły: jedne spokojnie, drugie trwożliwie, inne boleśnie, a niektóre nawet szczęśliwie.

VIII.

Nazajutrz aresztanci wstali bardzo rano. Zbudził ich kapral krzykiem i przekleństwami. Stebelskiego i Dorożowskiego wysłano wnet do zamiatania kancelarji i kurytarzy, noszenia wody i do innej *„domowej“* posługi. Dziad Pańko, Mytro, płaczący chłop wczorajszy i czarnowłosy żydek wyszli zamiatać miasto. W kaźni zostali Andrzej, Bowdur i stary żyd, który zawsze jeszcze leżał z gołą głową na mokrej podłodze, charcząc jak poderznięty. Bowdur również nie wstawał, a myć się ani nie myślał; napił się tylko wody, wyciągnął gołe nogi błyszczące od puchliny i znów położył się w swoim kącie.

Na dworze tymczasem zaczynało już świtać. Słońce wschodziło na pogodnem niebie, ludzie budzili się do pracy z pokrzepioną nadzieją i energją, z serc płynęły modlitwy o chleb powszedni, o zdrowie i ciche spokojne życie.

W kaźni wszystko szło innym trybem. Tu świadomość budziła się tylko dla nowych mąk; to też każdy nowy dzień był witany strasznem przekleństwem.

— Niech ich piorun spali z ich porządkami! — mruczał Bowdur leżąc w swym kącie. — Głodzą człowieka do godziny

dziesiątej, nim dadzą tych nedznych kilka grajcarów! Żeby ich tyle kolek w każdy bok ukłuło, ile ja tu od nich tych grajcarów dostałem!

W kaźni nastał już ów szary zmrok zapełniający ją dzień cały, a Andrzej korzystając z wolniejszego miejsca, zaczął chodzić po niej, chociaż nogi drżały mu jeszcze ze znużenia i głowa ciężyła okrutnie. Czuł, że jakiś straszny żar go pali i brzydził się ledz ponownie na te cuchnące sienniki, obrażające znużone ciało swą zgniłą parą. Chodził i dumał.

Dlaczegoż to człowiek nie jest maszyną, którąby sam rozum nakręcał jak potrzeba? Pocóż istnieje jeszcze ta druga nieprzewidziana moc — siła uczucia, która gmatwa prawidłowe myślenie? I ja, gdybym się był rozumem tylko kierował, czyż siedziałbym tu dzisiaj.

Chodząc po kaźni Andrzej kilka razy spojrzał na Bowdura i zauważył że ten nie spuszczał z niego oka. Andrzejowi zimno się robiło od tych spojrzeń, świecących przykrym blaskiem zgniłego próchna. Czuł się tembardziej jeszcze przygniębiony wśród tych ciasnych murów, serce jego było pełne trwogi, jakby się gwałtem wyrywało na jasny, wolny świat z ohydnej nory zamieszkałej przez upiora wysysającego mu ciepłą krew

z piersi. Lecz Andrzej nie poddawał się tym uczuciom — w sercu jego zbyt wiele było miłości dla ludzi, a zwłaszcza tych, co są poniżeni i prześladowani, zbyt wiele wiary w dobroć ludzką. Mimowolną trwogę swoją starał się wytłumaczyć znużeniem i osłabieniem fizycznem i przezwyciężywszy ją w końcu rzucił się na dziadowe łóżko, aby trochę odpocząć. Lecz za chwilę zerwał się, trzęsąc się cały, chwytał się konwulsyjnie to za pierś, to za głowę i znowu chodził po kaźni. Lecz straszliwe znużenie ostatecznie przemogło: upadł na łóżko i niebawem usnął twardo.

I śni mu się, że jakaś ślizka, brudna ręka zwolna rozpina mu ubranie, rozrywa koszulę, a dalej i własną pierś jego — kości się usuwają, a ona ręka tłoczy się w głąb, chłodna, obrzydliwa. Już chce chwycić serce, ostrożnie się doń dobiera przez sieć żył i arterji, jak ptasznik łowiący wróbla wśród zarośli. Już, już się zbliża, — czuć jej chłód przenikający do głębi, lodowate ostrze noża. Lecz serce poczuło już wroga, zabiło silnie, rzuca się gwałtownie na wszystkie strony, jak ptaszyna w klatce, i zrywa się, aby ujść dłoni napastnika. Lecz tajemnicza ręka, parta niewidomą siłą, posuwa się coraz dalej i dalej, rozwarła szeroko dłoń potężną i już, już

ma chwytać trzepocące serce, chwycić je i zdusić! Ostry, nagły ból jak błyskawica przeszył pierś Andrzeja; — zerwał się i stanął na równe nogi.

— Co się ze mną dzieje? — zawołał przecierając zaspane oczy. Zdawało mu się, że z piersi jego w tej chwili spadł ogromny ciężar, który go dotąd przygniatał, majaczyło mu się także, że we śnie widział brudną twarz Bowdura nachyloną nad sobą. Lecz to zapewne był sen tylko, gdyż ciężaru na piersiach nie miał żadnego, a Bowdur siedział spokojnie w swoim kącie z workiem na nogach i nawet na niego nie patrzał, tylko oczy gdzieś w kąt miał zwrócone, jakby liczył plamy na ścianie.

— Zapewne spinka gniotła mi pierś, pomyślał Andrzej, i zdjąwszy ją, ułożył się znowu do snu.

Zbudziło go niebawem otwieranie drzwi i hałas wracających z roboty aresztantów. Wnieśli ze sobą odrobinę świeżego powietrza, jakby woń wolnego świata, która rozweseliła cokolwiek każń. Do tego jeszcze czarnowłosy żydek znalazł przy zamiataniu miedzianego „czworaka“, którym się bardzo ucieszył, a za który sam nie wiedział jakichby to specjałów nakupić na solenny obchód tego szczęśliwego dnia. Stebelski i gazda Dorożo-

wski przynieśli sobie po garści niedogarków z cygar, tylko Dorożowski swoje natychmiast schował, Stebelski zaś podzielił się z innymi więźniami. Te niedogarki były jedyną zapłatą aresztantów zamiatających kancelarję, ale zapłatą bardzo pożądaną w obecnem ich położeniu.

Wreszcie nadszedł i wachmistrz z pieniądzmi, wyliczył każdemu po czternaście centów, posłał dziada i Mytra pod eskortą policjanta do miasta po chleb i inne zakupy. Andrzejowi też dali czternaście centów, a on dodał do nich jeszcze własnych dwadzieścia i prosił, by mu kupiono chleba i kiełbasy. Gdy Andrzej wyjmował ze sakiewki pieniądze, nie widział zapewne jak Bowdur śledził jego ruchy, mierzył i ważył okiem objętość sakiewki, z jaką zazdrością i niemal gniewem patrzał na ową dwudziestocentówkę, jakby to ją jemu — Bowdurowi z pod serca wyjęto.

Andrzej zaczął znowu chodzić po kaźni w gębokiej zadumie. Myślał o Hani, o jej pożyciu z mężem, które znał z jej listów, o tem, że jest sam na świecie po stracie najdroższej i ukochanej istoty. To znów błyskała mu weselsza myśl — nie, nie sam jest na świecie. Ma towarzyszy, szczerych, serdecznych, gorąco oddanych tej samej idei, co on, dopomogą mu w potrzebie, poradzą —

ale pomimo to — w tem miejscu myśl urywa się znów na smutnej, bolesnej nucie, dalej nasuwa się znowu inna nie mniej pocieszająca od pierwszej; wszak i ona nie jest dla mnie stracona: kocha go, jak wprzódy, nie stroni, nie zapomina o przeszłości, pisuje jak dawniej i jak dawniej śpieszy ze szczerą radą; on też jest dobrym uczciwym człowiekiem i serdecznym przyjacielem, ale pomimo to wszystko — i znów następuje przerwa w pogodnych myślach i Andrzej jakby pod ciężarem wielkiego bolu spuszcza głowę, a z oczu płyną dwie nieśmiałe, drżące łzy, piekące jak ogień i nie przynoszące żadnej ulgi sercu. Ociera je prędko i znów przechadza się po kaźni, starając się zwrócić swe myśli na otaczające go przedmioty.

— Rzecz godna uwagi, — mówił sam do siebie. Póki nie wspominano o jedzeniu, póty i ja nie czułem głodu i żołądek zachowywał się spokojnie, jakkolwiek jest próżny. A teraz przypomniał sobie i jak stary pies zaczyna burczeć i kurczyć się. Wartoby ten objaw zapisać do psychologicznego dziennika p. t. „Wpływ myśli na funkcje organiczne“... Dobrzeby było prowadzić taki dziennik, do któregoby się zapisywało każdy objaw uczucia, każde wybitniejsze wrażenie i to przez czas dłuższy, codziennie! Utworzyłaby się ciekawa statystyka życia umysłowego. Poznalibyśmy

jakiemi wrażeniami i uczuciami człowiek najwięcej żyje, jaki jest powszedni żywot tej „bożej iskry“, która w rzadkich, wyjątkowych chwilach tak wysoko się wznosi!

— Zajęła go myśl prowadzenia takiego dziennika i rozpatrywał ją ze wszystkich stron, zagłębiając się w szczegóły, jakby miał zamiar niebawem wprowadzić ją w życie. Trzeba kilku, kilkunastu ludzi, myślał on, sumiennych, miłujących prawdę, którzyby podzielili między siebie ważniejsze objawy psychicznej działalności, notując przeważnie objawy swego działu, objawy zaś innych działów tylko co ważniejsze. Wymaga to długoletniej wytrwałej pracy, jednak byłoby ciekawe i ważne dla wiedzy. Dotąd psychologja zajmuje się tylko jakością wrażeń, o ilości zaś ich ma smutne wyobrażenie. A przecież zdaje się, że tu znalazłby się klucz do rozwiązania niejednej psychologicznej zagadki.

Powoli takie myśli o nauce, o różnych teoretycznych kwestjach — upoiły Andrzeja. Przypomniał sobie młodych kolegów, zapalonych, szczerze oddanych myśli o wolności i szczęściu ludzi — przypomniał ich dyskusje, ich wspólne usiłowania rozszerzenia zakresów wiedzy, dziecinną radość z poznania każdej nowej prawdy, i poczuł się tak

rzeźkim i wesołym, jak gdyby znów się znalazł między nimi, jakby wieczna ohyda rodzaju ludzkiego — niewola — ani jego, ani nikogo na świecie nie gnębiła! Usta jego blade, lecz szczęśliwe mimowoli szeptały wyrazy pieśni:

Wszak nie zawsze mórz odmęty niepokoją huragany,
I nie każdy statek tonie — burzą skołatany.
Tem się pociesz, bo któż zgadnie — z pośród żeglujących [wielu
Tobie może los przeznaczył dopłynąć do celu!

IX.

Brzękła kłódka, otwarły się drzwi, — aresztańci wrócili z miasta z zakupioną żywnością. Wszczął się gwar. Dziad Pańko rozdawał chleb, sól, tytoń, cebulę, stosownie do tego, kto na co dał pieniądze. Aresztanci usiedli gdzie mogli i zaczęli się posilać. Bowdur, który widocznie był dziś rozdrażniony, przeklinał półgłosem dziada Pańka, że jemu dał taki mały bochenek, a temu czarnowłosemu prosiakowi taki duży.

— Ależ bo jego za dziewiętnaście grajcarów, a twój za czternaście — tłumaczył dziad, nie zważając na przekleństwo Bowdura.

— Bodajbyś czternaście zębów stracił, miaukaczu! burknął zamiast odpowiedzi Bowdur i zaczął żarłocznie gryść chleb, nie krając go, ani łamiąc.

— Macie tu nóż, Bowdurze, — powiedział Mytro.

— Na co? Chyba ci nim głowę uciąć! — wrzasnął Bowdur i ugryzł całą gębą kawał chleba. W rękach jego został w jednej chwili z całego bochenka już tylko kawałaczek.

I Andrzej jeść począł. Przyniesioną kiełbasę pokrajał na równe części i podzielił między wszystkich, nie wykluczając nikogo. Dorożowski i Bowdur nie podziękowali ani słowem, a Bowdur wziął podany kawałek i nie spojrzawszy nań nawet, rzucił w otwarte usta jak w otchłań.

Inni jeszcze należycie nie zabrali się do swoich porcji, a Bowdur nie miał już ze swej ani okruszyny. Przez chwilę spoglądał smutnie na ręce próżne, a na twarzy jego malowała się taka męczarnia głodowa, jakby od kilku dni nic w ustach nie miał. Andrzej popatrzył nań i zląkł się tego zgłodniałego wyrazu i nienasyconej żarłoczności. Zdawało mu się, że Bowdur mógłby teraz zjeść pierwszego lepszego człowieka i że lada chwila gotów jest rzucić się na którego aresztanta i odkąsić mu taki kawał żywego ciała, jak te kawałki chleba, co znikły bez śladu w jego gardzieli.

— Czy on zawsze taki głodny? — pytał

Andrzej dziada, ze wstrętem odwracając się od Bowdura.

Dziad popatrzył i równie prędko się odwrócił.

— Co tobie, Bowdurze? zapytał, — *klepkiś stracił,* chcesz ludzi kąsać, czy co? Potem zwracając się do Andrzeja dodał: — Nie, to dziś dopiero coś się z nim stało. Zwykle po spożyciu całego bochenka, wypija pół skopca wody i kładzie się na swojem miejscu.

— Może i tak, nic nie wiem, odrzekł ponuro Bowdur, — wiem tylko, żem głodny.

— A możeby pan dobrodziej był łaskaw zaczekać, aż służący z restauracji pieczeń przyniesie! — drażnił go dziad.

— Jeść mi się chce, głodny jestem! powtarzał ze ślepym uporem Bowdur.

— No, to jedz, czyżcikto broni? — zażartował czarnowłosy żydek.

— Nie bronisz? — zwrócił się do niego Bowdur, wpijając się oczyma w nadpoczęty duży chleb, co leżał przed żydkiem, — nie bronisz, to dobrze. Dawaj! — i wyciągnął obie ręce. Żydek schwycił chleb Bowdurowi z przed rąk.

— Dawaj! — zawołał Bowdur i oczy jego mignęły jakimś strasznym błyskiem, dawaj, bo albo ty umrzesz, albo ja!

— Owa! — przedrzeźniał żydek — albo

ty, albo ja! Za co ja mam umierać? Ustąp się bez kłótni, bo jeść mi się chce.

— Ale i ja także chcę jeść — odpowiedział łagodniej Bowdur, — dawaj mi tu chleb!

— Czyś się wściekł, czy co? Czego chcesz odemnie? krzyknął żydek?

— Daj chleba, miej litość nademną! błagał płaczliwym głosem Bowdur, lecz wzrok jego zapalał się coraz straszniejszym ogniem.

— Bądź łaskaw Bowdurku kochany odpowiedział również słodko żydek,—i pójdź sobie z bogiem do djabła!

— Zamiast odpowiedzi na tę pobożną odprawę, Bowdur podniósł wysoko w górę obie pięści i naraz — jak dwa młoty spuścił je na głowę żydka. Jak toporem podcięty powalił się chłopiec, a krew buchnęła mu z nosa i ust i oblala chleb, posadzkę i nogi Bowdura. Ale żydek milcząc, zerwał się jak szalony na klęczki i wpił z wściekłością swe paznogcie w nagie, opuchłe nogi Bowdura. Bowdur zaryczał głucho z bolu i począł kopać go nogami, lecz napróżno usiłował się uwolnić. Bezradny, chwycił jedną ręką swego zapaśnika za włosy, a drugą począł go bić w plecy; — chłopiec jednak nie puszczał, lecz coraz głębiej

wbijał mu ostre paznogcie w ciało tak, że z pod każdego paznogcia krew występować zaczęła. Wówczas Bowdur cofnął się w tył gwałtownym rzutem, pociągnąwszy za sobą chłopca, który padł twarzą na posadzkę. Ale i teraz jeszcze żydek nie jęknął nawet, lecz uchwyciwszy z błyskawiczną szybkością zakrwawiony chleb, z rozmachem i na oślep cisnął nim w brzuch Bowdurowi tak silnie, że temu aż zaburczało we środku, — puścił z rąk czuprynę chłopca i schwycił się oburącz za brzuch, jakby w obawie, by mu się nie rozleciał w drobne kawałki jak rozbita beczka. Żydek tymczasem zerwał się na równe nogi. Twarz jego posiniała z gniewu i bolu, cała była krwią oblana, w oczach świeciły łzy, wargi rozcięte, wydęły się, zacisnął zęby, a potem wyprostowawszy się, nie mówiąc słowa, zamierzył się do Bowdura powtórnie ciężkim bochenkiem chleba.

— Rozbrójcie ich na miłość boską! zawołał trwożnie Andrzej, odwracając wzrok od tego okropnego widoku. Był on bardziej jeszcze wrażliwy na cudzy ból, niż na własny i dlatego w tej chwili zdawało mu się, że każdy cios godzi w niego samego, raniąc go boleśnie,

— Nie, paniczu! — odpowiedział dziad

jedząc spokojnie dalej — nie trzeba! wyjdzie im to na zdrowie, rozruszają się trochę... A jak utoczą ze siebie parę miarek nikczemnej *juchy*, to ulży im na dobre. Ostawcie, panie, oni tak, jak te psy, pogryzą się, a potem poliżą. A gdyby się kto między nich teraz wmięszał, to pewnie rzuciliby się na nieproszonego rozjemcę.

— Zapaśnicy tymczasem okryci pianą, zalani krwią, stali naprzeciw siebie, oczekując, kto pierwszy da hasło do nowego boju. Niedługo czekali — znowu jakby na komendę rzucili się na siebie. Bowdur uderzył żydka pięścią po ręce i silnym razem wytrącił mu chleb z dłoni, żydek nie zwlekał długo z odpowiedzią, ale oddając pięknem za nadobne poczęstował go kułakiem między oczy. Po tym wstępie, chwycili się obaj za bary i już nie było widać, kto kogo bije, drapie, kaleczy, aż póki obaj nie stoczyli się na podłogę i puszczając się wzajemnie nie zaryczeli jak zranione zwierzęta: „Gwałtu! Gwałtu! Ratujcie“!

Na krzyk wbiegł do kaźni kapral z trzepaczką w ręku, a ujrzawszy na ziemi pokrwawionych zapaśników, krzyczących i zaperzonych obrócił trzepaczkę grubszym końcem i ująwszy rzemień w rękę, drewnianym trzonkiem zaczął obu smagać niemiło-

siernie. Zastukał trzonek o kości, uderzył głucho o nabrzękłe, miękkie jak poduszka ciała, a zapaśnicy ciągle jeszcze nie przestawali krzyczeć. Pragnąc się uchronić przed ciężkimi razami, pierzchnęli wreszcie do kątów, ale trzepaczka kaprala i tu ich dosięgła, smagając ich niemiłosiernie po plecach.

— A draby, a złodzieje! A opryszki! — syczał zadyszany kapral. Nie dosyć wam jednej biedy, jeszcze się bić będziecie? Poczekajcie gadziny, nauczę ja was!

— To on mnie pierwszy zaczepił, wybuchnął żydek z płaczem. — Chciał mi chleb wydrzeć! Com ja mu winien?

— A ty, zbóju jakiś! — pienił się kapral i posypał się grad razów na Bowdurowe plecy.

Bowdur milczał zwinąwszy się w kłębek, aż póki zmordowany kapral nie przestał smagać.

— Ha! poczekaj! ja cię nauczę chleb drugim odbierać! Mało ci swego, *wantochu* nienasycony!? — krzyczał kapral, cofając się ku drzwiom.

— Mało! — głucho, ponuro odpowiedział Bowdur.

— Co? śmiesz mi jeszcze odpowiadać? — wściekał się kapral, grożąc zdaleka

trzepaczką. Nie będziesz ty mi milczał, wisielcze przeklęty? Czekaj, jeżeli ci za mało, to i tego nie dostaniesz! Przepościwszy się trochę, nie będziesz tak pochopny do bójki. Umyślnie poproszę pana wachmistrza, aby ci jutro nie dał ani złamanego centa! Będziesz ty mi wtedy dopiero cienko śpiewał, poczekaj! A wy tu — zwrócił się do reszty aresztantów — nie dawajcie mu nic ani powąchać! Niechaj wie, psia krew, co to burdy wyprawiać! A jeżeli znowu zacznie, zawołajcie mnie natychmiast, ja potrafię go uspokoić!

Ponure, głuche milczenie po odejściu kaprala zapanowało w kaźni. Obecnym zdawało się w tej chwili, że ktoś dusił ich za gardło, i kęs chleba wypadał z ust każdemu. Wszyscy czuli, że scena, która przed nimi się rozegrała, ohydna była i nieludzka.

Tylko Stebelski, siedzący nieruchomo na zwykłem swem miejscu, jadł spokojnie chleb z małymi kawałkami kiełbasy, a gdy więzienie zaległa zupełna cisza, zwrócił się do Andrzeja i wodząc dłonią dokoła, wygłosił uroczyście:

— *Homo homini lupus!*

Andrzej blady jak ściana, wstał zwracając się do Bowdura, który leżal skulony w swym kącie, drżący, krwią zlany i siny, ale widok ten odebrał mu znowu siłę, więc

nie mogąc słowa przemówić, stał tak i patrzał z wyrazem nieopisanego bolu na twarzy.

— A dzisz, trzeba ci było tego? odezwał się dziad Pańko zabierając się znowu do jedzenia.

Bowdur milczał.

— Bowdurze, przemówił wreszcie Andrzej, jeżeliś głodny, czemuś mi nic nie powiedział? ja i tak swego chleba nie zjem. Po co ci było zaczynać bójkę, udzielę ci tyle chleba ile tylko zechcesz.

Mówiąc to, wziął bochenek, ukroił kawałek dla siebie, a resztę podał Bowdurowi.

Nie potrzebuję twego chleba! zjedz go sam i udław się — wybuchnął Bowdur, nie odrywając wzroku od powały i ciskając podany chleb pod łóżko. Andrzej osłupiał ze strachu i zdziwienia, i nie rzekłszy słowa usunął się na bok.

Mytro tymczasem wlazł pod łóżko, podniósł chleb, otarł go rękawem, pocałował i położył przed Andrzejem.

— Co wyrabiasz, tumanie jakiś? zwrócił się groźnie dziad Pańko do Bowdura. Czemu rzucasz chlebem świętym, a rzuciłoby ci głową! A kolki by cię sparły, odmieńcze ty jakiś!

— Was wszystkich niech zeprą burknął Bowdur, — wszystkich do jednego! I mnie także z wami! Powiedziawszy to uderzył z łoskotem pięścią o podłogę, a potem zwinąwszy się w kłębek, legł na dawnem miejscu.

X.

Długo chodził Andrzej po kaźni, zanim zdołał uspokoić się trochę. A kiedy odzyskał równowagę ducha, usiłował ulecieć myślą hen daleko z tego przeklętego miejsca płaczu i niedoli. Przenosił się myślą w inne, piękniejsze światy, gdzie młode a czyste serca wznosiły wysoko w górę sztandar ludzkości, gdzie potężne falangi kiedyś, niedługo, miały stanąć do walki w obronie ludzkości, świętych jej praw i odwiecznych potrzeb i pragnień!... Przenosił się też myślą i tam, gdzie biło jedyne przychylne mu serce kobiece, oblewając się może w tej chwili krwią żalu nad jego nieszczęściem. Więc pocieszał w myśli swą Hanię, zagrzewał towarzyszy, by nie wypuszczali z rąk raz podjętego sztandaru, nie zniżali go ani na chwilę, bo poniżona i podeptana ludzkość cierpi w miljonach miljonów! A o Bowdurze z jego cierpieniem i gniewnym uporem, zdawał się zapominać. I znowu rozmyślał:

— O ty moja głowo młoda i samolubna! Porzuć na chwilę myśl o sobie samej, przestań pocieszać siebie samą, a spojrzyj raczej dokoła wzrokiem uważnym, kochającym a braterskim! Ale cóż, olbrzymia boleść zamyka serca ludzkie, jak chłód wieczorny stula kielichy kwiatów, z zaciśniętemi ustami mijają się nieszczęśliwi w milczeniu, chociaż nieraz kilka słów, lub uścisk ciepłej, braterskiej dłoni mógłby ulżyć o połowę ich cierpienia. E ludzie, ludzie! Nie zbójcy, złodzieje i przestępcy, nie panujący i poddani, ale biedni, przybici i przypnębieni ludzie!...

Bowdur tymczasem leżał w swym zatęchłym kącie z bolącem ciałem, z duszą rozbitą, bezradnie leżał i myślał posępnie, a wspomnienia, jak niewyraźne obrazki przesuwały mu się w pamięci...

Nędza od lat najmłodszych, od dzieciństwa... Wzgarda, szturchańce i kije.... Żarty i drwiny towarzyszy, którzy stronili od niego, nie przyjmując go do swego grona... Bękart! znajda! *bowdur!* Ciężka praca u złych, obcych ludzi... Słota, mrozy, pragnienie, zmęczenie — wszystko to dokucza tylko gospodarzowi, najmicie nie! Najmita z żelaza, najmita wytrzyma — wytrzymać musi, za to mu płacą!... Cherlawe to, słabowite, niedołężne, nędznie płatne, licho

odziane... Bez przyjaciela, towarzysza... Nie! miał przyjaciela, miał towarzysza: w Borysławiu go spotkał przy korbie. Szczery przyjaciel, wierny druh, złote serce! Cha! cha! cha!... Lecz i ten pozazdrościł jedynego szczęścia: dziewczynę zabrał, ożenił się z nią!... Przesunęły się w myśli Bowdura pierwsze młode lata. Nic w nich nie było takiego, na czemby mogła pamięć się rozweselić, dusza odpocząć...

Myśl atoli nie wstrzymana niczem leci dalej, przewraca karty przeszłości jak człowiek, który włożywszy do książki pieniądze, szuka ich, przewracając kartkę po kartce.

Co zapędziło Bowdura do Borysławia? o tem on nawet wspominać nie chce—straszne to wspomnienie, krew w żyłach mrożące. Nie namyślając się długo — uciekł wtedy, a uciekając raz jeszczespojrzał na płonące... ale czy wieczornym blaskiem zachodu?... chaty i przeklął je... I odtąd przed nikim jeszcze nie zdradził swego pochodzenia, jakkolwiek od chwili owej minęło już lat pięć. Kto wie? może już i sam zapomniał nazwę nieszczęsnej wsi?

W Borysławiu odżył trochę. Chociaż ciężko było pracować wśród wyziewów naftowych, zawsze jednak płacono zrazu nieźle, tyle, że nie morzył się człowiek gło-

dem, jak to często bywało w służbie. Jak głodny wilk Bowdur rzucał się na strawę i jadł, jadł bez pamięci, przejadał wszystko co zarobił, chodził pół nago, ale jadł, żeby raz przecie czuć sytość w żołądku. Wódki zrazu nie pił, aż potem dopiero, kiedy *jej* zabrakło, rozpił się na dobre!

W Borysławiu przy korbie Bowdur po raz pierwszy w życiu zaprzyjaźnił się z człowiekiem, który był takim, jak on sierotą. Była to zacna dusza i Bowdur przez cztery lata żył z nim jak z rodzonym bratem. Pracowali razem, mieszkali razem, i prawie nigdy nie rozłączali się ze sobą. W potrzebie pomagali sobie wzajemnie nie pytając: kiedy oddasz? Chociaż, prawdę mówiąc, Bowdur więcej brał, niżeli dawał, i w tej chwili nawet, jakkolwiek uważa Semena za fałszywego zdrajcę, z lubością atoli wspomina o minionych chwilach przyjaźni i koleżeństwa.

— Dobre to były czasy — ale do djabła, minęły, i nie wrócą. A szkoda, że trwały tak krótko!

O dziewczynę przyjaciele pokłócili się i rozstali. Pokochali obaj robotnicę biedną, jak oni, wyrosłą we wzgardzie i poniżeniu, przywykła do milczącego posłuszeństwa i bezgranicznej pokory, do zupełnego wyrze-

czenia się i zaparcia własnej woli, własnej myśli nawet. Coś niepojętego stało się wówczas z Bowdurem. Szorstka jego, samolubna, dzika natura nabrała więcej jeszcze dzikości w towarzystwie tej cichej, łagodnej, posłusznej i dobrej istoty. Kochał ją, ale ta jego miłość przygniatała ją srożej jeszcze do ziemi — srożej i bezlitośniej, aniżeli całe jej dotychczasowe życie. Ileż to wymyślań, ile razów musiała ścierpieć od niego! Ach! a ile gorących łez wylała! Nigdy jednak Bowdur nie słyszał z ust jej słowa skargi. I to właśnie go bolało najbardziej. Dopiekał jej nieraz niemiłosiernie, żeby chociaż na chwilę obudzić siłę oporu, ale napróżno, ona tej siły nie posiadała wcale, ale natomiast miała inną siłę — łagodną, milczącą, posłuszną siłę miłości. O, bo ona, ciche jagnię, kochała tego okrutnego człowieka! I ta właśnie miłość — dodawała jej otuchy do spokojnego znoszenia wszystkich szalonych jego wybryków. Aż w końcu uczuł wstręt i obrzydzenie na widok tej bezgranicznej pokory i uległości i chociaż nie przestawał jej kochać na swój sposób, mimo to jednak pewnego razu w przystępie gniewu wybił ją i wypędził.

— Ona poszła—poszła do przyjaciela, pobrali się rychło; już i dziecinę mają... I ona,

przeklęta, jest z nim szczęśliwą! mruczał Bowdur.

Po stracie dziewczyny wszystko się naraz dla niego skończyło, wszystko poszło odmienną koleją. Rozpił się Och! do czorta! tęgo pił! Bywało przyjdzie rano z roboty — nocami pracował w szybie — i zaraz do szynku.

— Żydzie dawaj jeść!

— Ny, ny!

— Żydzie, daj wódki!

I pije, póki w kieszeni starczy *brzękaczy,* jak długo może się utrzymać na nogach. A kiedy wreszcie i nogi odmówią służby, wali się pod ławę i śpi do wieczora, póki go znowu nie zbudzą do roboty. Wygodnie mu z tem, nie potrzebuje wynajmować chałupy. Żyd we dnie nie wyrzuci z szynku, chce psiawiara, żeby i na drugi raz zagościć do karczmy, a przytem żydowskie psy gębę obliżą i czysto! Były to jedyne chwile, o których Bowdur wspominał z jakiemś pijanem zamiłowaniem. Ów okres ciągłego odurzenia, wiecznego zawrotu głowy i szumu dziwnego, wydawał mu się jedynym prawdziwie i zupełnie szczęśliwym okresem w całem życiu. Nic mu wówczas nie brakowało, a zresztą djabli wiedzą — może co i brakowało, ale on dalibóg, o niczem nie

wiedział. Bez myśli, bez wspomnień, z szumem tylko w głowie klekocącym jak młyńskie koło bez ustanku... Turrrrr—rr! I wówczas, jak spojrzysz dookoła — ludzie i chaty, słońce, niebo i świat cały kręcą się w kółko, w kółko! Turrrrr—rrr! A pozatem nie ma nic, ani na ziemi, ani na niebie — nigdzie — nigdzie!

— Gdybym tak teraz naprzykład wstał jutro z rana, a tu mi w głowie szumi, turkoce: turrrrr! przed oczyma wszystko się miesza w kółko, w kółko, — widzę, a nie poznaję, słyszę, a nie rozumiem, żyję, sam o tem nie wiedząc, i tak na zawsze! na wieki. Żeby i nie pić i wiecznie być pijanym! i o wszystkiem zapomnieć na zawsze!

A kiedy nie, to i cóż? Niech lecą wspomnienia, póki lecą. Klin klinem wybijemy, — podlejszym się jeszcze stanie! Wyjścia innego niema... I pocóż go szukać?

— Ale też za to na ostatek raz, ale grrracko! Pięćdziesiąt *wałków* bez dwóch szóstek... dalibóg warto... Zresztą i tak nie mam nic do stracenia!...

— A moja młodość?... Ech, do djabła! Same tylko bodłaki, sama pokrzywa! Przekleństwo na nią.

— A oni oboje? Niech ich piorun trza-

śnie! Porzucili, zdradzili, nie warto wspominać!...

— Lecz może kiedyś przecie byłoby lepiej... Nie, nie spodziewać mi się! Próżna nadzieja! Przekleństwo na nadzieję!

— Ale on, — może ma ojca, matkę?... To i cóż z tego, — ja ich nigdy nie miałem!

— A może... jaką?... Tfu, do licha! miałżebym na to zważać? A mnie co do tego? Niech wychodzi za drugiego!

— A może?... No cóż jeszcze? Nic! Czysto! w kółko, w kółko, w kółko! Ech! jakże boli, jak piecze, jak ściska! I tu, i tam, i ówdzie, — wskróś po całem ciele!... Noc już dawno zapadła, była już północ. Aresztanci spali jak przywaleni kłodami. Spał i Andrzej i nie słyszał tych półgłośnych szeptów, nie słyszał i nie widział zapewne, jak straszne męki cierpiał ten człowiek zdziczały z nędzy, która przyprowadziła go do ostatecznej rozpaczy.

XI.

Znowu dzień. Gwar, przekleństwa i śmiechy, pobrzękiwanie kłódki, krzyki, robota. I znowu Andrzej chodzi po kaźni, blady, osłabiony z braku powietrza, chodzi i myśli. Suchy kaszel poczyna go dusić w piersiach, a myśli plączą się w nieładzie po

głowie. Czuje jakieś straszne omdlenie w całem ciele, wszystko zaczyna mu ciężyć ołowiem. Ach, gdyby odpocząć, poleżeć wygodnie, spokojnie, pod pogodnem niebem, na wolnem, czystem powietrzu, w cienistym chłodzie!... Sny jego czarowne bledną, napróżno stara się im nadać w swej wyobraźni dawne, żywe kształty. Nawet postać Hani nie chce mu się ukazać przed oczyma duszy; i zamiast uroczej jej twarzyczki, widzi jakieś dzikie, potworne gęby, brudne, z rozczochranymi włosami, pełne strasznej groźby. Położył się wkońcu na łóżku, otworzył szeroko oczy i utkwił je w sufit, starając się o niczem nie myśleć. Lecz nagle sufit zaczyna się ożywiać: zwężać, to znów rozszerzać, porusza się, i zwolna, na brudno — żółtem tle jego z gęstego mroku występują te same, ohydne, groźne gęby, schylając się nad nim, trupio nieme i milczące. Zrywa się więc i znowu zaczyna chodzić.

— Co się ze mną dzieje? mówi sam do siebie. Wszak nie byłem nigdy skłonnym do halucynacji! Dlaczego te widma teraz mię prześladują?

A Bowdur tymczasem leży w swym kącie i także myśli.

— Et, kiedy już będę miał pieniądze, dopieroż będzie sztuka schować je tak, aże-

by nie znaleźli i nie odebrali. Ale co mi mają odebrać, kiedy się nikt nie domyśli. Trzeba będzie robić warjata, albo co, potem to już wszystko pójdzie jak z płatka! Zresztą poradzimy sobie jakoś. Byle tylko dobrze schować, potem jeszczeby sobie człek raz pozwolił, ale uczciwie, tak żeby starczyło za wszystkie razy! Więc nasamprzód chleba, pieknego białego, — nie, — bułek lepiej, ale dużo, dużo, żeby się najeść do syta. Kiełbas, mięsiwa pełne miski z czubem! A potem piwo, wino butelkami! Co chwila nowa butelka na stół, ażeby w głowie szumiało wiecznie, żeby się wiecznie kręciło, żeby o wszystkiem zapomnieć! Świat cały zakręci się w kółko, w kółko, póki nie przyjdzie koniec. A koniec—co tam koniec? Jedna chwilka! Nie obawia się go wcale, byle tylko w głowie szumiało i kręciło się... A później zobaczymy!

— Ale on taki młody, taki dobry!... odezwał się cicho jakiś głos nieśmiały z głębi Bowdurowego serca.

— Cóż u djabła! Alboż ja nie młody? odpowiedział mu na to głos drugi. On był zawsze szczęśliwy, tyle szczęścia, ile on doznawał co dnia, ja przez całe swe życie nie zaznam. To niesprawiedliwie, trzeba się teraz pomieniać z losem.

— Lecz możeby niekoniecznie?... zarzucił znów nieśmiało cichy, głęboki głos, płynący z głębi duszy.

— Albo co? Poco się długo bawić? odparł głos drugi, donośny, przygłuszający wszytskie inne. Dla nas obu lepiej będzie, tem lepiej, im prędzej się wszystko skończy.

— A może on ma ojca, matkę?... Niech ich sto djabłów! Niech wiedzą, co to ból! Ja ich tam nigdy nie miałem i nie mam?... Ale o dziwo! Bowdur, choć sam siebie uspokajał, jednak czegoś drżał na całem ciele, spoglądając na Andrzeja i trwożnie ściskając w dłoni jakiś mały przedmiot, którego się sam lękał, a jednak strzegł go jak oka w głowie.

— Jeść mi się chce, okrutny głód mnie pali! mruczał. To on przeklętym swym chlebem wzbudził we mnie taką żarłoczność nienasyconą! A wydaje się takim dobrym! Czekaj, nieboże! nie pomoże ci twoja dobroć nie odwiedzie mnie ona!...

W tej chwili otworzyły się drzwi i do kaźni wsunęła się głowa starego policjanta z dobrodusznym wyrazem na twarzy.

— Panie Temera! przemówił łagodnie.

Temera ocknął się z zadumy. Zdawało mu się przez chwilę, że słyszy głos rodzonego ojca, głos, który niegdyś dawno słyszał

za lat dziecięcych. Zbliżył się więc do drzwi i spojrzał na twarz policjanta, ale napróżno wysilał pamięć, twarz ta nie była mu znana.

— Cóż, nie możecie mnie poznać? No pewnie, byliście jeszcze malcem, kiedym się to wyniósł z Tarnopola. Z nieboszczykiem ojcem waszym byliśmy sąsiadami i przyjaciółmi szczerymi od serca! Święć Panie nad jego duszą! Ale co się to z wami stało? Uszom swoim wierzyć nie chciałem, gdy mi powiedzieli, że siedzi tutaj panicz Temera z Tarnopola! Co za Temera? myślę sobie. Tam był jeden tylko Temera.

Pewnie to syn jego bedzie, albo krewny! Biedny chłop z pana. I posadzono was tutaj między takie plugawstwo! Ale ija prosiłem już pana inspektora, obiecał m, że od jutra bedziecie siedzieli na strażnicy, ja za was ręczę.

Temera serdecznie dziękował staremu;— po twarzy zaś Bowdura przeleciała trwoga, jakby uczuł, że wymyka mu się z rąk zdobycz pewna.

— A może wam co przynieść z miasta? pytał dalej stary. Dzisiaj ja mam w zastępstwie kaprala klucze od kaźni, mógłbym wam przynieść, czegobyście tylko chcieli. Namyślcie się, a ja rychło wrócę, pójdę ino na chwilę do kancelarji.

Stary zamknął drzwi i wolno poszedł do biura. Andrzej aż poweselał: lżej mu się na sercu zrobiło, gdy usłyszał przyjaźne szczere słowa, i przekonał się że przecie i tu znalazła się poczciwa dusza, która mu sprzyja. Ach, jak się ucieszył wiadomością, że jutro opuści tę jaskinię i uda się, na strażnicę! Zdawało mu się, że już, już ma wyjść na wolność. Światło, powietrze, zieleń, żywa przyroda, owe codzienne, zwykłe rzeczy — jakże drogie, jak pożądane były w tej chwili dla niego!

— Panie! — wyrwał go nagle z zadumy ostry głos Bowdura. — Każcie przynieść wódki, całą kwartę *hary,* bedziemy mieli na parę razy.

— A wolnoż tu przynosić wódkę? zapytał Andrzej.

— Czemużby nie! Stary przyniesie! Andrzej sam nie pijał wódki, ale widział, że dla innych więzniów będzie to prawdziwa uczta, poprosił więc starego, ażeby przyniósł wódki i kiełbasy. Stary wahał się zrazu, czy może przynieść całą kwartę, ale kiedy go Andrzej zapewnił, że sam uważać będzie, by aresztanci nie pili zbyt wiele naraz, przedstawiając mu zresztą, że kwarta wódki dla dziewięciu ludzi „nic nie znaczy“ — zgodził się.

Południe. — Gwarząc wesoło, zasiedli aresztanci do spożywania przyniesionej żywności. Na widok niezwykle wspaniałej uczty, oczy wszystkich zaświeciły radością. Dziękowali Andrzejowi za jego dobre serce. Tylko Bowdur siedział w swym kącie, napawając swój wzrok widokiem flaszki z wódką. Naraz zerwał się, chwycił oburącz flaszkę, przyłożył ją do ust i począł pić chciwie. W pierwszej chwili wszyscy przypatrywali się ze zdziwieniem, potem rzucili się, chcąc mu wyrwać z rąk flaszkę. Lecz nierychło udało im się dokonać tego. Większa część przyniesionej wódki zniknęła w okamgnieniu w gardle Bowdura.

— A bodaj cię sucha jodła przygniotła! zaklął dziad Pańko. Cóż to, nie możesz zaczekać, aż kolej przyjdzie na Ciebie?

— A — a! odsapnął Bowdur. To mi po dawnemu, po borysławsku! Jakby mnie kto po wszystkich żyłach pogłaskał, a w głowie pieni się, szumi turrr!...

Po tych słowach chwycił kawał kiełbasy, pochłonął go żarłocznie i zataczając się legł napowrót w swym kącie.

Długo jeszcze gwarzyli aresztanci częstując się wódką, wyrzekali na przeklętego Bowdura, lecz ten leżał nieruchomo w swym kącie, patrząc bezmyślnie przed siebie i nie zważając na ich przekleństwa.

— Gdzie się też mógł podzieć mój scyzoryk, — zawołał Andrzej szukając po kieszeniach, miałem go jeszcze niedawno, widocznie musiałem go gdzieś zgubić! nie mam teraz czem chleba ukroić. Scyzoryk zresztą nie wiele był wart, nie taka to szkoda jak niewygoda.

— Poszukajcie, panie, dobrze, rzekł dziad Pańko, scyzoryk nie igła, nie powinien zginąć w kaźni. Lecz napróżno szukano—noża nigdzie nie było.

— No, to ukrójcie panie moim kozikiem, a potem poszukamy — odezwał się Mytro. Kiedyście spali musiał pewnie upaść dziurą do siennika. U nas nie trudno o to, a spojrzcie tylko, panie, jaka to sienniczyna dziurawa!

— I to być może, rzekł dziad Pańko. Trzeba będzie potem poszukać.

Ale aresztanci tak byli zajęci wesołą gawędką przy wódce i jedzeniu, że zapomniawszy o nożu pokładli się wkrótce i zachrapali smacznie.

Zasnął i Bowdur. Jeden tylko Andrzej, który nie pił wódki, chodził po kaźni, weselszy i zdrowszy z powodu wesołej nowiny, że z dniem jutrzejszym wydobędzie się z tej przebrzydłej nory.

— Ech, gdyby to wnet ujrzeć się cał-

kiem wolnym! wyszeptał z westchnieniem... Zaczęłaby się nowa praca, nowe plany i przecie wkońcu doczekalibyśmy się lepszych czasów. Należałoby się jednak wziąć porządnie do pracy, społem i nie tracić na uboczne sprawy ani czasu, ani pieniędzy! Byle tylko wydostać się na wolność! Zrobimy, co będzie można. Tylko odważnie, sumiennie, szczerze i rozumnie, — a reszta — nie od nas zależy!...

XII.

Noc zapadła. Śpią aresztanci, oddychając z trudem, ciężkiem, gęstem powietrzem. Czasem ten lub ów zakaszle suchym, uporczywym kaszlem, obróci się na drugi bok, westchnie głęboko, jęknie lub krzyknie przez sen. W kaźni panuje głęboka ciemność, na dworze bowiem pochmurno i duszno, a od dalekich gór dolatuje echo głuchych piorunów i grzmotów. Bowdur nie śpi. W czarnej jego duszy mroczniej i straszniej niż w celi więziennej, myśl jego znużona długą męczarnią, oszołomiona wódką, nie szybuje jak wczoraj, wspomnienia umilkły jak zaklęte. Usiadł na swym barłogu trzymając w dłoni nóż Andrzeja z długiem, wązkiem ostrzem. Palce jego czasami dotykają żelaza, jakby próbowały, czy jest ostre — drży

przytem na całem ciele jak we febrze i oblewa się zimnym potem. Czeka aż na dworze i w kaźni zalegnie zupełna cisza, czeka, aż nastanie głucha północ.

— Tam w górze grzmi — mruknął ponuro, — przy grzmotach sen twardszy — A ktoś tu dzisiaj na śmierć *zaśnie!*

Ostatnie słowa uderzyły go strasznem swem brzmieniem, wzdrygnął się i zamilkł.

— Tam do licha — ciągnął dalej po chwili, — co to za szatańska rzecz te słowa! wymówisz jakieś głupie słowo, i zaraz zlodowaciejesz cały, jakbyś już coś okropnego zrobił. A gdy myślisz bez słów, to nic cię nie trapi, oko przywyka do najstraszniejszych nawet rzeczy, a ucho, z uchem bieda, zaraz się buntuje!... Ale co mi tam, wszystko to bajki, byle tylko pieniądze!

Podniósł się na tapczanie i począł nadsłuchiwać. Zrazu nic nie słyszał, po chwili jednak doleciał go głos policjantów odbywających straż nocną. Rozmawiali głośno na ganku.

— No i cóż, — mówił jeden, — nie zastali już tego biedaka przy życiu?

— Nie. Był jeszcze trochę ciepły, gdy przybiegli, ale gardło i szyję miał przerżnięte do kości!

— Wielki Boże, — zawołał drugi, — chyba

już koniec świata się zbliża! tak się już ludzie zepsuli, tak jeden na drugiego godzi, a brat brata nienawidzi!

Trzeba być bez serca, żeby zabijać takiego młodego...

Wtem rozległ się huk pioruna i Bowdur nie mógł dosłyszeć dalszej rozmowy. Zdjęła go okrutna trwoga. Skulony w kącie dzwonił zębami, oczekując w przerażeniu, rychło też policjanci odgadłszy jego zbrodnicze zamiary, wpadną do kaźni i zasieką go żywcem.

Zwiesił ręce bezwładnie, z dłoni wysunął mu się nóż i upadł na podłogę. Dźwięk stali przeraził go więcej niż piorun. Usiadł w najciemniejszym kącie, skulił się, przymrużył oczy, zatkał uszy, usiłując pozbyć się wszelkich zewnętrznych wrażeń i wkrótce, sam o tem nie wiedząc, zdrzemnął się na chwilę.

Nagle zerwał się gwałtownie i omal nie krzyknął na całe gardło. Śniło mu się, że przechodził wbród krwawą jakąś rzekę, był już w połowie drogi, kiedy wtem nagle natrafił na głębię i zaczął tonąć. Krew ciepła, żywa, burząc się i falując złowrogo dokoła, zalewa go, wciska mu się do ust i do oczu — chciałby się ratować, czuje jednak, że krew lepka jak smoła oblepiła mu ciało, ubezwładniła ręce i nogi. Czuł, że tonie i — zbudził się nagle.

— Ha, straszny sen! Duszno mi!... Ale co mi tam, sen mara!... A może czas już zacząć?

Podniósł się znowu, nadsłuchując uważnie. Nic nie słychać, prócz oddechu śpiących.

Schylil się, szukając noża po podłodze. Wnet jednak jak oparzony, podniósł dłoń w górę. Uchwycił był starego żyda za gardło i uczuł jak pod palcami bije mu krew gorąca i krtań porusza się, jakby strwożona jego dotknięciem.

— Niech cię Bóg skarze, żydzie psiawiaro! — mruknął Bowdur. — Takem się tego oddechu przeląkł, jakbym gadzinę ręką pochwycił. Tfu na ciebie!

Schylił się powtórnie i po długiem szukaniu namacał wreszcie scyzoryk. A potem zcicha, na palcach skradał się do łóżka, gdzie spał Andrzej, obmacał go naprzód, czy nie śpi z Dmytrem w objęciach, a przekonawszy się, że leży wolno, pochwycił go wpół, uniósł w górę, jak dziecko i lekko położył na ziemi.

— Tak, tu będzie lepiej, — mruknął.

— Tam trzepocąc się, rozbudziłby drugich.

Andrzej spał twardo, dotknąwszy jednak głową wilgotnej posadzki drgnął, szepcząc przez sen: „Haniu ratuj!...“

Bowdur sądząc, że Andrzej się obudził, w jednaj chwili przygniótł mu kolanem pierś, lewą ręką uchwycił za gardło, a prawą pociągnął z całej siły po krtani. Andrzej zatrzął się całem ciałem i krzyknął, ale nie głośno, gardło miał bewiem zdławione. Krew buchnęła strumieniem i oblała ręce Bowdura. Ten widząc, że Andrzej się jeszcze silnie szamoce, raz jeszcze pociągnął nożem po gardle ofiary.

— Gdzie pieniądze? Dawaj, dawaj — szeptał mu nad uchem.

— Och! — jęknął Andrzej, — pieniądze... w sta... rostwie... odebr...

Nie dokończył. Ostrze noża w tej chwili przecięło mu krtań i żyły do kości. Krew silniej buchnęła, drgania ciała słabły co chwili, aż wreszcie zupełnie ustały...

Bowdur tymczasem klęczał nad trupem Andrzeja jak piorunem rażony. Pieniądze odebrano w starostwie, a więc napróżno zamordował człowieka!... I nagle jakby łuska spadła z oczu Bowdura...

Co on zrobił?... Dlaczego odebrał życie temu człowiekowi? Jaki czort popchnął go do tego?

Długo klęczał Bowdur bez ruchu i myśli nad trupem Temery, sam jak trup. Prawa ręka ciągle jeszcze ściskała skrwawiony

nóż, podczas gdy lewa oblana ciepłą krwią, konwulsyjnie ścisnięta, dławiła stygnące gardło Andrzeja...

Nagle jakaś dłoń lodowała dotknęła jego ramienia i na wpół senny, głęboki głos przerwał głuche milczenie.

— Co robisz, Bowdurze?

Był to Stebelski, którego obudziły jęki konającego. Bowdur nie odpowiadał, nie drżał, nie lękał się, klęczał tylko nieruchomo nad ciałem Temery.

— Co tu robisz? — pytał Stebelski, wstrząsając parę razy Bowdurem... Czemu nie śpisz?

Głos Stebelskiego i dotknięcie zimnej jego dłoni, zadawały się budzić Bowdura zwolna z osłupienia. Drgnął, podniósł w górę głowę, odetchnął ciężko i przemówił łagodnie, prawie wesołym głosem, w którym nie było ani śladu dawnej, dzikiej szorstkości.

— Poczekaj, zobaczysz komedję.

— Jaką komedję? zapytał cicho Stebelski.

— Zaraz będziesz widział. Wstał, przestąpił trupa, zbliżył się ku drzwiom i obiema pięściami niby młotami zaczął w nie walić co siły.

Nagłe stukanie zagłuszyło szum burzy,

szalejącej na dworze, wszyscy aresztanci zerwali się na równe nogi.

Co się stało, co się tu stało? pytali przerażeni.

— A pan gdzie? Gdzie pan Temera?— pytał Mytro, nie mogąc się domacać Andrzeja.

Ale Bowdur nie słyszał nic, ciągle tylko stał przy drzwiach, waląc w nie z całej nocy pięściami.

— Czyś ty zwarjował, co się stało? — krzyczał dziad Pańko.

— Czego stukasz? co to ma znaczyć?

— To ma być jakaś komedja, — odpowiedział Stebelski.

Z wartowni dały się słyszeć krzyki i przekleństwa. Kapral zbudzony piekielnym hałasem, pochwycił latarnię, i jak stał w bieliźnie, pośpieszył pędem na miejsce, skąd słychać było ogłuszający stuk i wrzawę.

— Jaki tam djabeł stuka do drzwi? krzyczał. A stukałoby ci po kiszkach! Czego chcesz?

— Otwórz! — krzyknął Bowdur nie przestając grzmocić. —

— A będziesz tam cicho, bestjo przeklęta! Źle będzie, jak otworzę!

— Otwieraj! słyszysz? — nie przestawał krzyczeć Bowdur i grzmocił pięścią w zabity blachą otwór, w drzwiach wycięty.

— A ty złodzieju jakiś! — wołał zaperzony kapral, postawił latarnie na podłodze i począł otwierać kłódkę pieniąc się z gniewu. Bowdur przez cały ten czas nie przestawał stukać pięściami. Zaledwie jednak kapral otworzył drzwi na oścież, Bowdur zaciśniętą pieścią uderzył kaprala między oczy tak, że ten upadł nieprzytomny na posadzkę, a lampa wysunąwszy mu się z rąk, rozbiła się i zgasła.

— Mówiłem ci otwieraj! Czemuś się nie spieszył! Masz teraz! – przygadywał Bowdur, trzymając drzwi na oścież otwarte.

— Gwałtu! Ratujcie! Rozbój! Gwałtu! — wrzeszczał kapral. Nadbiegli policjanci z latarniami.

— A to ty, przeklęty Bowdurze! — zawołali jednogłośnie rzucając się na niego, lecz ten jednym susem był już w kaźni. Tłum rzucił się za nim z latarniami.

Ale zaledwie światło latarni żółtym blaskiem oświeciło izbę, policjanci z przerażenia stanęli jak wryci.

Na środku kaźni leżał skrwawiony trup Andrzeja, a obok niego klęczał Bowdur i nurzał dłonie w krwi zabitego.

— Boże! co się tu stało? — wyrwało się ze wszystkich piersi.

— Ja to zrobiłem, ja — szeptał cicho

Bowdur. Nie wierzycie? Oto nóż—patrzcie! jego własny!...

Jakaś dziwna, a nagła zmiana zaszła w nim teraz. Rysy jego zdawały się mięknąć, łagodnieć... Z oczu znikł zgniły blask świecącego próchna...

Przypadł twarzą do skrwawionego trupa Andrzeja.

— Bracie mój, Cóżem ja z tobą zrobił! Zaco cię zabiłem? Święta ty, jasna duszo, — przebacz mi! Gorzkie palące łzy, które długi czas dławiły mu gardło, rzuciły mu się teraz potokiem z oczu, mięszając się z krwią zamordowanego.

Przez chwilę jeszcze stali więźniowie i policjanci jak osłupiali wobec tej wstrząsającej do głębi sceny, słuchając łkań Bowdura. Ale rychło się opamiętali.

— Zbieraj się paniczu!—zawołali naraz. Tu już dla ciebie miejsca niema. Czas ci się przenieść do innego mieszkania. Nie pora płakać!

Bowdur podniósł oczy i gniewnie, a boleśnie spojrzał na zgromadzonych.

— Przekleństwo na was *szulanty*!-ozwał się. Patrzcie.

— To mówiąc przyłożył rękę do ziejącej rany Andrzeja i przedzielił ją dłonią w poprzek na dwie połowy.

— Patrzcie, to moja część a to wasza! Nie bójcie się, ja odpokutuję za obie, ale, jest jeszcze inny sąd, co rozezna, która część do mnie, a która do was należy!...

Brzękły ciężkie kajdany i Bowdur pozwolił się w nie zakuć bez oporu. Podczas tego aresztanci żegnali się i odmawiali modlitwy nad trupem, tylko Mytro płakał gdzieś w kącie, a Stebelski siedząc nieruchomo na swym barłogu, milczał długo, aż w końcu odezwał się uroczyscie, grobowym głosem:

— *Pereat homo, crescat humanitas!*

KONIEC.

Pierwsze polskie wydanie

Lukiana z Samosaty

DZIEŁA I.

ROZMOWY BOGÓW.
O OBRZĄDKACH OFIARNYCH.

Z greckiego przełożył
M. Chmielewski.

Cena egzemplarza na papierze czerpanym

Nakład W. Zukerkandla
w Złoczowie.

BIBLJOTEKA POWSZECHNA

Każdy pojedyńczy numer 30 groszy

KAŻDY TOMIK MOŻNA OSOBNO NABYĆ

DOTYCHCZAS WYSZŁO 1105 NUMERÓW.

1. **Mickiewicz**, Konrad Wallenrod.
2-3. **Franklin**, Droga do majątku.
4. **Morgenbesser**, Zwycięstwo książki.
5. **Grillparzer**, Klasztor pod Sandomierzem.
6. **Ibsen**, Upiory.
7. **Żółkowski**, Anegdoty i fraszki.
8-9. **Szekspir**, Romeo i Julja.
10. **Stinde**, Mituś i Matuś.
11. **Zahajkiewicz**, Powinszowania.
12. **Moliére**, Grzegorz Fafuła.
13 *a*. **Chodźko**, Obrazy litewskie. T. I.
14-15. **Cicero**, Cztery mowy przeciw Katylinie.
16. **Maupassant**, Nowele. T. I.
17. **Klonowicz**, Ziemie Czerwonej Rusi.
18-19. **Ibsen**, Wróg ludu.
20. **Cicero**, Mowa za prawem Manilljuszowem.
21. **Wilkoński**, Ramoty i ramotki. T. I.
22. **Wilkoński**, Ramoty i ramotki. T. II.
23. **Wilkoński**, Ramoty i ramotki. T. III.
24-27 *a*. **Goethe**, Faust.
28. **Tennyson**, Enoch Arden.
29. **Wilkoński**, Ramoty i ramotki. T. IV.
30. **Wilkoński**, Ramoty i ramotki. T. V.
31. **Morawski**, Dworzec mego dziadka. — Wizyta w sąsiedztwo.
32. **Wilkoński**, Ramoty i ramotki. T. VI.
33-34. **Feldmann**, Jak w życiu.
35-38. **M. M.** Czy mówisz po francusku?
39-42. **M. M.** Czy mówisz po niemiecku?
43. **Chodźko**, Obrazy litewskie. T. II.
44-45. **Abrahamowicz i Zieliński**, Dobry Numer.
46-47. **Pobratymiec**, Urzeczona.
48-49. **St. Pierre**, Paweł i Wirginja.
50. **Cicero**, Kato starszy.
51. — Leljusz, czyli o przyjaźni.
52-53. **Mantegazza**, Wiek nerwowy.
54. **Kaczorowski**, Poradnik dla tańczących.
55. **Krasiński**, Nieboska komedja.
56-57. **Körner**, Zriny.
58-60. **Hofmanowa**, Dziennik Franciszki Krasińskiej.
61-62. **Szumski**, Victoria!
63. **Wergiljusz**, Bukoliki.
64-65. **Swift**, Podróże Gulliwera T.I.
66. **Byron**, Więzień Czyllonu.
67-68. **Swift**, Podróże Gulliwera. T. II.
69-70. **Brodziński**, O klasyczności i romantyczności.
71-72 **Grillparzer**, Matka rodu Dobratyńskich.
73. **Syrokomla**, Urodzony Jan Dęboróg.
74-75 *a*. **Lessing**, Natan Mędrzec.
76-77. **Fredro**, Zemsta.

78. **Fredro**, Pan Geldhab.
79-80. **Fredro**, Śluby panieńskie.
81-82. **Swift**, Podróże Gulliwera. T. III.
83-86. **Rawita**, Błędne ogniki.
87. **Halek**, Wieczorne pieśni.
88. **Cicero**, Mowa za poetą Archjaszem.
89. **Zacharyasiewicz**, Nieboszczyk w kłopotach.
90. **Krasiński**, Noc letnia. Pokusa.
91-92. **Fredro**, Damy i huzary.
93-95 *a*. **Krasiński**, Irydjon.
96-98. **Zipper**, Lutnia i miecz.
99-100. **Słowacki**, Balladyna.
101. **Korzeniowski**, Mnich.
102. **Korzeniowski**, Karpaccy Górale.
103-104. **Swift**, Podróże Gulliwera. T. IV.
105-106. **Lermontow**, Księżniczka Mary.
107. **Urbański**, Z za kulis i ze świata. T. I.
108-111. **Korzeniowski**, Kollokacja.
112. **Romanowski**, Dziewczę z Sącza.
113. **Korzeniowski**, Pierwej mama.
114. **Malczewski**, Marja.
115-116. **Walewski**, Hulaj dusza!
117-120. **Korzeniowski**, Spekulant.
121 *a*. **Goethe**, Ifigenja w Taurydzie
122. **Urbański**, Z za kulis i ze świata T. II.
123-128. Niedola Nibelungów.
129-131. **Rawita**, Bohaterowie życia.
132. **Gresset**, Vert-Vert czyli Szpak klasztornego chowania.
133-134. **Korzeniowski**, Żydzi.
135-136. **Kryczyński**, Zamek w Podhorcach.
137-138. **Cicero**, Mowa za S. Roscjuszem z Amerji.
139-140. **Fredro**, Pan Jowialski.
141. **Urbański**, Z za kulis i ze świata. T. III.
142 *a*. **Słowacki**, Lilla Weneda.
143-145. **Sarnecki**, Nowele.
146-147 *a*. **Szekspir**, Juljusz Cezar.
148. **Krasicki**, Bajki i przypowieści.
149-150. **Schnür-Pepłowski**, Kościuszkowskie czasy. T. I.
151 *a*. **Jokai**, Dziwne historje.
152-153. **Pailleron**, Świat nudów.
154-155. **Hołowiński**, Legendy.
156. **Mickiewicz**, Grażyna.
157-158. **Mantegazza**, Jak dożyć sędziwego wieku?
159-160. **Schnür-Pepłowski**, Kościuszkowskie czasy. T. II.
161. **Fredro**, Nikt mnie nie zna.
162. **Krasiński**, Przedświt.
163-164. **Goethe**, Torkwato Tasso.
165-166. **Grabowski**, Trzy lata w Algierze.
167. **Bełza**, Maryla.
168. **Słowacki**, Marja Stuart.
169. **Fredro**, Pan Benet.
170-175. **Kraszewski**, Powrót do gniazda.
176. **Schnür-Pepłowski**, Ojciec Bem.
177. **Fredro**, Zrzędność i przekora.
178. **Urbański**, Z za kulis i ze świata. T IV.
179. **Klemensiewicz**, Z męczeńskiego żywota.
180. **Czech**, Klucze Piotrowe.
181. **Korzeniowski**, Narzeczone.
182. **A. O. i Dr. Dębicki**, Iwonicz.
183-184. **Lermontow**, Bohater naszych czasów.
185. **Słowacki**, Trzy poemata.
186. **Niemcewicz**, Powrót posła.
187. **Byron**, Giaur.
188-190. **Grabowski**, Alina.
191. **Syrokomla**, Szkolne czasy.
192. **Wężyk**, Okolice Krakowa.
193-195. Charakterystyki literackie: *I. J. Słowacki.*
196-198 *a/b*. **Schiller**, Don Karlos.
199. **Urbański**, Z za kulis i ze świata. T. V.
200 *a*. **Goszczyński**, Zamek kaniowski.
201 *a*. **Mickiewicz**, Ballady i romanse. — Sonety.
202-206 *a/b*. **Ostaszewski-Barański**, Krwawy rok (1846).
207-209. Charakterystyki literackie: II. *A. Mickiewicz.*
210. **Cicero**, Mowa za T. Annjuszem

Milonem.
211-214 *a/b.* **Łoziński**, Zaklęty dwór. T. I.
215-218 *a/b.* **Łoziński**, Zaklęty dwór. T. II.
219-220. **Moliére**, Don Juan.
221-222. Charakterystyki literackie: *Z. Krasiński.*
223. **Krajewski**, Z wieczornych gawęd.
224. **Urbański**, Z za kulis i ze świata. T VI.
225. **Mickiewicz**, Księgi narodu Polkiego.
226 *a.* **Fredro**, Wielki człowiek do małych interesów.
227. Charakterystyki literackie: IV. *A. Malczeski.*
228-232 *a.* **Dante Alighieri**, Boska komedja. Część I. Piekło.
233. **Mickiewicz**, Dziady. Cz. I. II. i IV.
234. Charakterystyki literackie: V. *K. Ujejski.*
235-236. **Mickiewicz**, Dziady. Cz III.
237-238. Charakterystyki literackie: VI. *J. Kochanowski.*
239. **Walewski**, Teatr i jego ofiary.
240. **Puszkin**, Kaukazki jeniec.
241-248 *a/b.* **Dr. Zipper**, Mitologja Greków i Rzymian.
249-251. **Hans Olden**, Urzędowa żona.
252-253. **Ibsen**, Rosmersholm.
254. **Goethe**, Pandora.
255-260 *a/b.* **Korzeniowski**, Emeryt.
261. **Krasiński**, Psalmy przyszłości.
262-265 *a.* **Dante Alighieri**, Boska komedja. Część II. Czyściec.
266. *a.* **Goethe**, Egmont.
267. **Syrokomla**, Zgon Acerna.
268. **Kazet**, Scherzo. T. I.
269. **Urbański**, Z za kulis i ze świata. T. VII.
270. **Fredro**, Odludki i Poeta.
271-273 *a.* **Chodźko**, Obrazy litewskie. T. II. Pamiętniki kwestarza.
274 *a.* **Słowacki**, Książę Niezłomny.
275-278 *a.* **Dante Alighieri**, Boska komedja. Część III. Raj.
279. **Kazet**, Scherzo. T. II.
280 *a.* **Walewski**, Górą Radziwiłł.
281. **Goszczyński**, Sobótka.
282-283 *a.* **Ibsen**, Dzika kaczka.
284. **Kazet** Scherzo. T. III.
285. **Krasicki**, Monachomachia i Antimonachomachia.
286. **Krasicki**, Myszeis.
287-292. **Dr. Kurpiel**, Podręcznik do dziejów literatury polskiej.
293. **Pontmartin**, Margabina d'Aurebonne.
294 *a.* **Słowacki**, Kordjan.
295. **Słowacki**, Mazepa.
296 *a.* **Szajnocha**, Szkice historyczne. I. Barbara Radziwiłłówna.
297-300. **Wasilewski**, Poezje.
301 *a.* **Łoziński**, Opowiadania humorystyczne.
302. *a.* **Sue**, Nowele
303. **Szajnocha**, Szkice historyczne. II. Matka Jagiellonów. Brody krzyżackie.
304 *a.* **Tołstoj**, Potęga ciemnoty.
305-309 *a/b.* **Łoziński**, Czarny Matwij.
310. **Szajnocha**, Szkice historyczne III. Jan Sobieski banitą i pielgrzymem. Wnuka króla Jana III.
311-312. **Sudermann**, Jan Chrzciciel.
313-315. **Kuncewicz**, Zaklęte usta.
316. Charakterystyki literackie: VII. *A. hr. Fredro.*
317-318. **Szekspir**, Antonjusz i Kleopatra
319-320 *a.* Tysiąc nocy i jedna. T. I.
321-323 *a.* **Schiller**, Zbójcy.
324-326 *a* Brzydka dziewczyna.
327. **Słowacki**, Mindowe.
328. **Herzl**, Przed pogonią.
329-332 *a.* **Rojan**, Piękny Leoś.
333. **Szajnocha**, Szkice historyczne. IV. Wojna o cześć kobiety. Zwycięstwo roku 1675. pode Lwowem.

334-337 *a* **Heine**, Romancero.
338-339 *a*. Tysiąc nocy i jedna T. II.
340-341. Charakterystyki literackie: VIII. *I. Krasicki.*
342-343. **Sudermann**, Honor.
344-345. **Krasicki**, Satyry i Listy.
346-350 *a/b*. **Łoziński**, Szaraczek i Karmazyn.
351-352 *a*. Tysiąc nocy i jedna T. III.
353. **Ibsen**, W dniu zmartwychwstania.
354-359 *a/b*. **Ostaszewski-Barański**, Rok złudzeń (1848).
360-363. **Dr. M. M.**, Czy mówisz po angielsku?
364-365 *a*. Tysiąc nocy i jedna. T. IV.
366. **Słowacki**, Jan Bielecki. Hugo. Mnich. Arab.
367-368. **Heine**, Atta Troll.
369-370 *a*. Tysiąc nocy i jedna. T. V.
371-373 *a*. **Hofmanowa**, Pamiątka po dobrej matce.
374 *a*. **Ibsen**, Mały Eyolf.
375. **Fredro**, Mąż i żona.
376-377 *a*. Tysiąc nocy i jedna. T. VI.
378. **Syrokomla**, Chatka w lesie.
379. **Szajnocha**, Szkice historyczne. V. Stanisław i Anna Oświecimowie. Próbka podań historycznych.
380. **Słowacki**, Anhelli. Pisma polit.
381-383. **Tchórznicka**, Rozmówki francusko-polskie.
384 *a*. **Korzeniowski**, Stary kawaler.
385-386 *a*. Tysiąc nocy i jedna. T. VII.
387-390. **Hofmanowa**, Jan Kochanowski w Czarnolesie T. I.
391-394. **Hofmanowa**, Jan Kochanowski w Czarnolesie. T. II.
395 *a*. **Schnitzler**, W matni.
396-397 *a*. Tysiąc nocy i jedna. T. VIII.
398-399 *a*. Tysiąc nocy i jedna T. IX.
400. **Brodziński**, Wiesław. Dodatek: Oldyna i Czerniaków.
401. **Kochanowski**, Treny. Odprawa posłów greckich.
402-403 *a*. Tysiąc nocy i jedna. T. X.
404-408. **P. B.**, Czy mówisz po rusku?
409-410 *a*. Tysiąc nocy i jedna. T. XI.
411-412 *a*. Tysiąc nocy i jedna. T. XII.
413. **Czechow**, Zbiór nowel. T. II
414 *a*. **Goszczyński**, Król zamczyska.
415-416 *a*. **Pol**, Mohort.
417-418 *a*. **Pol**, Pamiętniki Imci Pana Benedykta Winnickiego.
419-422 *a*. **Pol**, Pieśni Janusza.
423 *a*. **Pol**, Pieśń o domu naszym.
424. **Pol**, Pieśń o ziemi naszej.
425-426. **Pol**, Wit Stwosz.
427-428. Charakterystyki literackie: IX. *H. Sienkiewicz.*
429. **Goethe**, Herman i Dorota.
430. **Pol**, Z wyprawy wiedeńskiej.
431-432. Charakterystyki literackie: X. *K. Brodziński.*
433. **Mickiewicz**, Konfederaci barscy.
434-437 *a*. Niech żyje! Zbiór toastów i przemówień.
438 *a*. **Syrokomla**, Margier.
439. **Urbański**, Pamiętaj o mnie! Wiersze do albumów.
440-443 *a*. **Pol**, Pacholę hetmańskie.
444 *a*. **Szajnocha**, Szkice historyczne. VI. Słowianie w Andaluzji. Zdobycze pługa polskiego.
445-446. Charakterystyki literackie: XI. *Najnowsza poezja polska.*
447. Wyprawa Igora na Połowców.
448. **Korzeniowski**, Stary mąż.
449-450. **Lessing**, Minna von Barnhelm.
451-453. **Heine**, Księga pieśni.
454. **Feliński**, Barbara Radziwiłłówna.
455-456. **Tołstoj**, Owoce oświaty.
457-458. **Schiller**, Wilhelm Tell.
459-460. **Słowacki**, Żmija. Lambro.
461-465 *a*. **Sudermann**, Kuma troska.
466-468. **Gorkij**, Wareńka Olesowa.
469-470. **Rossowski**, Obrazki familijne.
471. **Fredro**, Ciotunia.
472-473. **Goethe**, Cierpienia młodego Wertera.

V.

474. **Czechow**, Zbiór nowel. T. II.
475. **Słowacki**, Król-Duch.
476-478 *a*. **Krasicki**, Przypadki Mikołaja Doświadczyńskiego.
479-480. **Ibsen**, Pani zamku Östrot.
481-483. **Bolesławita**, Dziecię Starego miasta.
484. **Korzeniowski**, Cyganie.
485-486 *a*. Charakterystyki literackie: XII. *B. Zaleski*.
487. **Maupassant**, Nowele. T. II.
488. **Zola**, Powódź. — Lilli.
489-496. *a/b* **Rzewuski**, Pamiątki JPana Seweryna Soplicy.
497. **Maupassant**, Nowele. T. III.
498. **Zola**, Atak na młyn.
499. — Jak ludzie umierają.
500 *a*. **Syrokomla**, Córa Piastów. — Stare wrota.
501 *a*. **Zabłocki**, Sarmatyzm.
502-503 *a*. **Pol**, Obrazy.
504. **Rossowski**, Zuzanna w kąpieli.
505. Dramaty japońskie: I. **Takeda Izumo**, Terakoja. II. **Yamada Kakashi**, Asagao.
506. **Maeterlinck**, Piękność wewnętrzna i Życie głębokie.
507-508 *a*. **Witwicki**, Gadu-Gadu.
509. **Verga**, Rycerskość wieśniacza.
510. **Webersfeld**, Katechizm dla teatrów amatorskich.
511. Charakterystyki literackie: XIII. *J. Kasprowicz*.
512-513. **Gorkij**, W stepie.
514. **Krasiński**, Marja. Beatrice. Incomparabile Donna.
515. **Libański**, Monologi satyryczne.
516-517. **Schiller**, Intryga i miłość.
518. **Czechow**, Mewa.
519-520. **Hauptmann**, Tkacze.
521-523. Charakterystyki literackie: XIV. *Mikołaj Rej z Nagłowic*.
524. **Bojko**, Zielnik.
525. **Björnson**, Ponad siły.
526-527. **Ibsen**, Związek młodzieży.
528-530 *a*. **Szajnocha**, Szkice historyczne. VII. Mściciel.
531-533. Charakterystyki literackie: XV. *J. I. Kraszewski*.
534. **Zabłocki**, Fircyk w zalotach.
535-540 *a*. **Rościszewski**, Księga obyczajów towarzyskich.
541. **Hebbel**, Marja Magdalena.
542-543. **Kamiński**, Zabobon czyli Krakowiacy i Górale.
544. **Syrokomla**, Janko Cmentarnik. — Kęs chleba.
545. **Maeterlinck**, Joyzella.
546-550 *a/b*. **Rzewuski**, Listopad. T. I.
551-555 *a/b*. — Listopad. T. II.
556-557. **Heyermans**, Ogniwa.
558. **Starkman**, Monologi humorystyczne. T. I.
559-560. **Kochanowski**, Pieśni ksiąg czworo.
561. **Zieliński**, Kirgiz.
562-563. **Bergström**, Piwowarzy.
564. **Starkman**, Monologi humorystyczne. T. II.
565. **Gorkij**, Więzienie.
566. **Hamsun**, Włóczęga.
567-570. **Rościszewski**, Jak doskonalić samego siebie?
571-573. **Chodźko**, Obrazy litewskie. T. IV. Brzegi Wilji.
574-580 *a/b*. **D'Annunzio**, Dziecko rozkoszy.
581-586. **E. L.**, Czy mówisz po rosyjsku?
587-592. **Rościszewski**, Jak się bawić w towarzystwie?
593-600 *a/b*. **Jadwiga T.**, Co i jak gotować?
601. **Baumbach**, Złatorog.
602-603. Charakterystyki literackie: XVI. *S. Wyspiański*.
604. **Daudet**, Nowele. T. I.
605. **Andersen**, Książka z obrazkami bez obrazków.
606-610 *a*. **Jokai**, Złoty człowiek. T. I.
611-615 *a*. — Złoty człowiek. T. II.
616. **Twain**, Humoreski. T. I.
617. **Syrokomla**, Nocleg hetmański.

618-619. **Słowacki**, Sen srebrny Salomei.
620. **Poe**, Nowele. T. I.
621. **Orzeszkowa**, Meir Ezofowicz.
622-623. Charakterystyki literackie: XVII. *Literatura polska syberyjska.*
624. **Mendes**, Nowele.
625-629. **Bodzantowicz**, Boje polskie i przygody żołnierskie.
630. **Zola**, Nantas.
631-632. **Korzeniowski**, Wąsy i Peruka.
633-637 *a* **Orzeszkowa**, Marta.
638-640. Lis Mykita.
641. **Zola**, Radykał.
642-643. **Ibsen**, Nora.
644. **Czechow**, Zbiór nowel. T. III.
645-646. **Grabowski**, Z obczyzny.
647 *a*. **Słowacki**, Ksiądz Marek.
648-650. **Doyle**, Z przygód Sherlocka Holmesa. T. I.
651-652. Charakterystyki literackie: XVIII. *S. Goszczyński.*
653-658 *a/b*. **Krasicki**, Pan Podstoli.
659-660. **Du Prel**, Spirytyzm.
661. **Zola**, Feta w Coqueville.
662-663. **Zimorowicz**, Sielanki.
664-665. **Ibsen**, Hedda Gabler.
666. **Muzajos**, Hero i Leander.
667-669. **Szekspir**, Hamlet.
670. **Fredro**, Dożywocie.
671-672. **Hebbel**, Judyta.
673-677. **Bojko**, Łacina w życiu codziennem.
678-680. **Szekspir**, Otello.
681-684. **Bolesławita**, Przed burzą.
685-686. **Ibsen**, Podpory społeczeństwa.
687-694. *a/b*. **Homer**, Odysseja.
695-696. **Musset**, Podwójna miłość.
697. **Wilde**, Olbrzym samolub i inne opowiadania.
698-700. **Doyle**, Z przygód Sherlocka Holmesa. T. II.
701-702. **Siemieński**, Portrety literackie. I. *Obóz klasyków.*
703-704. **Zola**, Teresa Raquin.
705. **Apulejusz**, Amor i Psyche.
706. **B.**, Lawn Tennis.
707-708. **Słowacki**, Beniowski.
709-710. **Szekspir**, Kupiec Wenecki.
711. **Gorkij**, Poematy.
712-713. **Hoffmann**, Panna Scudery. — Kopalnie faluńskie.
714 715. **Szekspir**, Makbet.
716-720. **Majerski**, Opis ziem dawnej Polski.
721. **Maupassant**, Horla.
722-723. **Fogl**, Pielęgnowanie kwiatów i roślin w mieszkaniach.
724-725. **Herczeg**, Kwiat na bagnisku.
726-727. **Chodźko**, Podania litewskie. S. I.
728-730 **Szekspir**, Król Lir.
731-736 *a/b*. **Siemieński**, Wieczory pod Lipą czyli Historja Narodu Polskiego.
737. **Fredro**, Cudzoziemczyzna.
738. **Korzeniowski**, Majster i czeladnik.
739-740. **Libelt**, O miłości ojczyzny.
741. **Fredro**, Nocleg w Apeninach.
742-743. **Ibsen**, Jan Gabrjel Borkman.
744. **Ksawery**, Sport saneczkowy.
745. **Syrokomla**, Hrabia na Wątorach.
746-750. **K. Z.**, Co mam deklamować?
751-752. **Ibsen**, Budowniczy Solnes.
753-760 *a/b*. **Pasek**, Pamiętniki.
761-766 *a/b*. **Suffczyński**, Zawsze oni. T. I.
767-772 *a/b*. **Suffczyński**, Zawsze oni. T. II.
773. **Wazow**, Sławczo-Wojewoda.
774. **Zola**, Zgon Oliwiera Becaille.
775. **B.**, Sport piłki.
776-779 *a*. **Wieland**, Oberon.
780. **D'Aurevilly**, Tajemnice partji wista.
781. **Króliński**, Kusicielka.
782-784. **Doyle**, Z przygód Sherlocka Holmesa. T. III.
785. **Słowacki**, Horsztyński.
786. **Fredro**, Świeczka zgasła.
787-788. **Gorkij**, Ostatni.
789-790. **Heyermans**, Ghetto.
791-796 *a/b*. **Jokai**, Kobieta z morskiemi oczyma.
797. **Słowacki** Beatryks Cenci.

798-799. **Jankowski**, W loży masońskiej.
800. **B.**, Sport łyżwiarski.
801. **Słowacki**, Złota Czaszka.
802-803. **Wergiliusz**, Georgiki.
804-806. **Kuncewicz**, Ustęp z „Gita-Govindy".
807-808. **Dickens**, Szkice.
809-810. **Karjagin**, Konfucjusz.
811-812. **Byron**, Kain.
813-814. **Fredro**, Gwałtu, co się dzieje!
815. **Słowacki**, Poema Piasta Dantyszka o piekle.
816. Bigos literacki.
817-818. **Gogol**, Rewizor z Petersburga.
819-820. **Ibsen**, Kobieta morska.
821. **Romanowski**, Łużeccy.
822-826 *a/b*. **Bernatowicz**, Pojata. T. I.
827-831 *a/b*. **Bernatowicz**, Pojata. T. II.
832-833. Charakterystyki literackie: XIX. *K. Przerwa-Tetmajer.*
834-836. **Ibsen**, Pretendenci do tronu.
837. **Bracco**, Nowele. T. I.
838-839. **Prévost**, Nowele.
840. **Czirikow**, Za poręką.
841-850. Gra w szachy.
851. **Byron**, Manfred.
852-853 *a*. **Gautier**, Romans pewnej mumji.
854-855. **Lagerlöf**, Opowiadania.
856. Nowele szwedzkie.
857. **B.**, Sport pływacki.
858-859. **Jeske-Choiński**, Sąd boży.
860. **Fredro**, Pierwsza lepsza.
861. **Czirikow**, Na progu życia.
862-863. **Mikszáth**, Błyszczące ślady.
864. **Tołstoj**, Wyprawa.
865-866. **Lagerlöf**, Skarb p. Arnego.
867. **Szekspir**, Sen nocy letniej.
868 *a*. **Szajnocha**, Szkice historyczne. VIII.: Powieść o niewoli na Wschodzie.
869-870. **Wedekind**, Narodziny wiosny.
871-874. Charakterystyki literackie: XX. *M. Konopnicka.*
875-876. **Björnson**, Nowy system.
877-879. **Hamsun**, Pan.
880. **Gogol**, Swaty.
881-883. **Szekspir**, Korjolan.
884-885. **Daudet**, Tartarin z Taraskonu.
886-890 *a*. **Graybner**, Półpanek.
891-895 *a*. **Rzewuski**, Zaporożec. T. I.
896-900 *a*. **Rzewuski**, Zaporożec. T. II.
901-902. **Strindberg**, Koledzy.
903. **Słowacki**, Rozmowa z Matką Makryną Mieczysławską.
904. **Fels**, Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach.
905. **D'Annunzio**, Urszula.
906-908. **Bolesławita**, Szpieg.
909. **Syrokomla**, Kasper Karliński.
910. **Börne**, Listy o Polsce 1830/31.
911-912. **Schiller**, Oblubienica z Messyny.
913 **Korzeniowski**, Panna mężatka.
914 *a*. **Gutzkow**, Uriel Akosta.
915. **Fredro**, Co tu kłopotu!
916-917. **Niemcewicz**, Śpiewy historyczne.
918. **Szajnocha**, Szkice histor. IX. Wiek Kazimierza Wielkiego.
919-920. **Tołstoj**, Żywy trup.
921-924*a*. **Lam**, Wielki świat Capowic.
925. **Szajnocha**, Szkice histor. X.: Obyczaje pierwotnych Słowian. Staropolskie wyobrażenia o kobietach. Siostra Kazimierza Wielkiego we Włoszech.
926. **Trembecki**, Zofjówka. Polanka i Powązki.
927-928. **Pol**, Rok myśliwca.
929-930. **Zimorowicz**, Roksolanki.
931-934. Antologja współczesnych poetów ukraińskich.
935. **Heine**, O Polsce.
936-937. **Ibsen**, Komedja miłości.
938-940. Esperanto w 10 lekcjach.
941. Cukiernia domowa.
942. **Nothnagel**, Umieranie.
943-948 *a/b*. **Krasiński**, Władysław Herman i jego dwór.
949-950. **Szekspir**, Ugłaskanie Sekutnicy.
951. **Trembecki**, Bajki i listy.

952. **Szajnocha**, Szkice historyczne XI.: Djabeł wenecki. Szlachcic chodaczkowy. Jak Ruś polszczała. Śmierć Czarnieckiego.
958-960 *a/b.* **Cervantes**, Don Kiszot z Manszy. T. I.
961-968 *a/b.* **Cervantes**, Don Kiszot z Manszy. T. II.
969-970. **Bojko**, Chrząszcze (Coleoptera).
971-972. **Zabłocki**, Zabobonnik.
973. **Alarcon**, Nowele.
974-975. **Bang**, Tancerka.
976-978 *a.* **Ibsen**, Peer Gynt.
979-980. Życiorysy sławnych muzyków: *Liszt.*
981. Esperanto. *Klucz.*
982-983 *a.* **Schiller**, Sprzysiężenie Fieska w Genui.
984. B., Sport rybołowstwa wędkowego.
985-987 *a.* Szachowe zadania. T. .
988-989. **Awerczenko**, Historje zabawne.
990 *a.* **Szajnocha**, Szkice historyczne X.: Domna Rozanda.
991-995 *b* **Bolesławita**, Czarna perełka.
996. **Fredro**, Godzien litości.
997-998. **Łoziński**, Ludzie z pod słomianej strzechy.
999. **Syrokomla**, Wiejscy politycy.
1000 *a.* **Mickiewicz**, Wiersze różne.
1001-1006. **Skarga**, Kazania sejmowe.
1007-1010. **Bracco**, Nowele T. II.
1011. **Zaleski**, Przenajświętsza Rodzina.
1012-1015. **Schiller**, Dziewica Orleańska.
1016. **Syrokomla**, Wielki Czwartek.
1017-1018. **Calderon**, Życie snem.
1019-1020. **Fredro**, Nowy Don Kiszot.
1021-1023. **Szymonowicz**, Sielanki.
1024-1025. **Korzeniowski**, Okrężne.
1026-1028. **Szekspir**, Figle kobiet. (Wesołe kumoszki windsorskie).
1029. **Słowacki**, Genezis z Ducha.
1030. **Mickiewicz**, Jakób Jasiński albo Dwie Polski.
1031-1032. **Fredro**, Dwie blizny.
1033-1034 Cu Vi parolas Esperante? Rozmówki esperancko-polskie.
1035. **Syrokomla**, Ułas.
1036-1040. **Szekspir**, Król Ryszard III.
1041-1050. **Korzeniowski**, Krewni. T. I.
1051-1060. **Korzeniowski**, Krewni T. II.
1061-1063. **Słowacki**, Poezje.
1064-1065. **Byron**, Korsarz.
1066-1070. **Schiller**, Marja Stuart.
1071-1072. **Słowacki**, Podróż na wschód.
1073. **Siemieński**, Portrety literackie II. Kajetan Węgierski.
1074. **Lenartowicz**, Bitwa Racławicka.
1075-1081. **Kraszewski**, Poeta i świat.
1082-1084 **Bliziński**, Pan Damazy.
1085-1087. **Andrejew**, Wilhelm II. i jeniec.
1088-1089. **Kornel Ujejski**, Skargi Jeremiego.
1090. **Henryk Ibsen**, Uroczystość na Solhaugu.
1091. **Henryk Ibsen**, Grób Hunów.
1092-1093. **Iwan Franko**, Na dnie.
1094. **Oskar Wilde**, Tragedja florencka.
1095. **Novalis (Fr. von Hardenberg)**, Pieśni duchowne.
1096-1097. **Kornel Ujejski** Melodje biblijne.
1098-1099. **Władysław Łukasik**, Popularny przewodnik fotograficzny dla amatorów.
1100-1101. **Leon Tołstoj**, Śmierć Iwana Iljicza.
1102-1105. **Adam Mickiewicz**, Pan Tadeusz.

GRUDZIEŃ 1926

Dalsze tomiki w druku.

BIBLIOTEKA NARODOWA

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001023712360

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
540779
1092-1093.